Nr. 40. Warszawa, dnia 7 Października (25 Września) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

FILOZOFJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BEZPŁODNOŚĆ FRANCYI.

Znany jest całemu światu ciężki kłopot Francyi, której ludność nie przyrasta i która skutkiem tego uczuwa trwogę wobec swych sąsiadów, mnożących się ustawicznie. Świeżo zajął się oświetleniem tej klęski w *Revue intern. de sociologie* słynny kierownik paryskiego biura statystycznego, Bertillon. Jeszcze przed 50 laty posiadała Francya taką ludność, jaką obejmują dziś kraje, wchodzące w skład Niemiec. Obecnie liczy ona 38, a Niemcy 50 milionów mieszkańców. Ostatnie tedy w ciągu pół wieku zyskały 12 milionów, nie licząc 4, które wywędrowały do Ameryki. Ta przewyżka pochodzi stąd, że na 1000 mieszkańców rodzi się przeciętnie rocznie w Niemczech 37 dzieci, we Francyi zaś 25, a nawet w r. 1891 tylko 22. Od lat kilku roczny przyrost ludności pierwszych wynosi 1,800,000, drugiej zaś tylko 900,000 — czyli połowę, w niespełna tedy 20 lat na jednego żołnierza francuskiego wypadnie dwu niemieckich. Ponieważ ten stan rzeczy wynika z rozmaitej płodności rodzin (jedna przeciętnie wychowuje we Francyi 3 dzieci, w Niemczech 4), więc Bertillon mniema, że płodność tę można powiększyć zapomocą... odpowiedniej polityki podatkowej. Ze statystyki bowiem okazuje się, że liczba urodzeń spada równolegle z podnoszeniem się dobrobytu, czyli im kraj bogatszy, tem mniej wydaje dzieci. Tak np. zamożna Normandya ma najmniejszą liczbę urodzeń, przeciwnie uboga Bretania— największą. Z tego faktu wysnuwa się inny, mianowicie, że im bogatsze klasy społeczne, tem mniej się rozmnażają, a im biedniejsze — tem więcej. Stwierdzają dowodnie tę regułę rozmaite dzielnice Paryża, z których zamieszkane przez bogaczów objawiają płodność słabą, podczas gdy przedmieścia dorównywają niemieckiej. Nie pochodzi to bynajmniej ze względów obyczajowych, lecz z unikania podziału majątku. Tej dążności chce zapobiedz Bertillon. Prawo — powiada on — powinno ulżyć ciężaru ojcu licznej rodziny, tymczasem ono ten ciężar mu powiększa brzemieniem najrozmaitszych podatków. „Równe podatki nierówno obarczają ojca dziecka jednego i ojców dwojga, trojga, czworga itd. dzieci. Przedewszystkiem więc należy sprawić, ażeby nie był skazywany na coraz większą karę pieniężną ten, kto popełnił głupstwo, zostawszy ojcem i ile razy je popełnił. Innemi słowy dla przyszłości Francyi jest nieodzownem uznanie ze strony fiskusa tej zrosztą oczywistej prawdy, że ofiary jednostek winny pozostawać w stosunku prostym do dochodów, a w odwrotnym do ciężarów. Wychowanie zaś wielu dzieci jest ciężarem. Gdyby zatem Francya przeczuwała to niebezpieczeństwo, jakie jej grozi, musiałaby przyjąć zasadę, że państwo uznaje wychowanie dziecka za formę opłaty podatku.“

Przeciw tym rozumowaniom, a raczej przeciw wyprowadzonej z nich recepcie praktycznej wystąpił (w *Deutschen Worte*, zeszyt 8 i 9) głośny socyolog, profesor uniwersytetu grackiego, L. Gumplowicz. Zaznaczywszy gwałtowność przeskoku autora francuskiego ze statystyki do polityki i zauważywszy słusznie, że z faktów przez Bertillona przedstawionych należałoby wywnioskować, jako środek skuteczny, zubożenie bogatych francuzów, którzy wtedy zaczęliby się mnożyć, rzuca on na przedmiot światło ze swego stanowiska, jak zwykle, nie zasłaniając żadnej konsekwencyi logicznej. Zawsze i wszędzie — powiada Gumplowicz, przypominając swoją teoryę socyologiczną — państwo składa się z różnorodnych żywiołów, z których jedne władają nad drugimi. Fakt tego władania jest nieodłączny od państwa i stanowi jego wewnętrzną istotę. Żaden wszakże układ stosunków nie jest wieczny, gdyż wszystko podlega rozwojowi, który w państwie spoczywa na walce żywiołów i na dążeniu do utrzymania zwycięstwa. Taka dążność przenika wszystkie pory społeczeństwa, wytwarza atmosferę jego myśli i pragnień. Jednym ze środków zachowania zdobytej pozycyi jest unikanie wielu dzieci, które skutkiem podziału majątku biednieją.

Gumplowicz tedy tłomaczy zmniejszenie się płodności Francyi przyczynami socyologicznemi i widzi w niej konieczny ich wytwór, którego żadne deklamacye i przepisy ustawodawcze nie pokonają.

Z AUSTRYI.

Rozporządzenie o stanie wyjątkowym w parlamencie.—Anarchia u Hohenwartowców.— Koło polskie.— Układy między lewicą a hr. Taaffem. — Niepotrzebne domysły.

Obecne położenie rządu austryackiego przypomina poniekąd sytuacyę, w której znajdował się niemiecki przed ostatecznem głosowaniem nad ustawą wojskową. Za kilka dni parlament rozpocznie znów swe obrady i zapadnie uchwała co do faktu górującego w dzisiejszych wewnętrznych stosunkach monarchii — mianowicie co do stanu wyjątkowego w Pradze. Mimo gorączkowego zajęcia, jakie kwestya ta budzi we wszystkich kołach politycznych, mimo naprężonej uwagi, z jaką śledzą tu za przebiegiem rokowań pozakulisowych między rządem a pojedynczemi stronnictwami, nikt nie potrafiłby jeszcze przepowiedzieć dziś, jaka będzie decyzya. Niepewność ta panuje nietylko w szerszych kołach publiczności, lecz nawet u osób najbliżej tą sprawą zainteresowanych. Można śmiało twierdzić, że z drobnymi wyjątkami przeważna część posłów, zjeżdżających się obecnie do Wiednia, nie wie dziś jeszcze, czy w kwestyi tak donośłej i zasadniczej, jaką jest samowolne ograniczenie najgłówniejszych swobód konstytucyjnych przez rząd, będzie

głosować przeciw rozporządzeniu rządowemu, czy też za niem. Obraz położenia zmienia się co chwila; każdy dzień niemal przynosi nam nowe wieści o wyodrębnieniu się tej lub owej grupy parlamentarnej z obozu, z którym łączą ją zwykle węzły solidarności politycznej. Szczególnie tyczy się to owego wielkiego koczowiska nomadów politycznych, w którem sprzymierzeniec i przyjaciel prezesa ministrów, hr. Hohenwart, zgromadził pod swym sztandarem najróżnorodniejsze żywioły. Panuje tam anarchia zupełna, a widz nieobeznany dokładnie ze stosunkami tutejszymi i chcący mierzyć je wedle pojęć stosujących się do innych parlamentów europejskich, mógłby łatwo dojść do wniosku, że klub hohenwartowski, główna podpora systemu hr. Taaffego, przestał już istnieć lub że dnie jego są policzone.

A jednak — i w tem właśnie dopatrzeć się można dalszego podobieństwa chwili obecnej w Austryi z chwilą, którą przechodził niedawno rząd niemiecki — chociaż nieznane są dotychczas środki, mające zapewnić hr. Taaffemu zwycięztwo w blizkiej walce, przecież po pewnem zastanowieniu się nie wątpi tu nikt na seryo o tem, że zwycięztwo pozostanie po stronie rządu. Wieloletnia polityka prezesa gabinetu osiągnęła cel swój w zupełności: ubezwładniła ona wszystkie stronnictwa parlamentarne bez wyjątku, pozbawiła je inicyatywy i charakteru, uczyniła niezdolnemi do stanowczego oporu w jakiejkolwiek kwestyi zasadniczej. To też biorąc w rachubę tę cechę ogólną tutejszego życia publicznego i zestawiając niektóre objawy, świadczące o obecnym nastroju pojedynczych grup parlamentu, można z pewnem prawdopodobieństwem przynajmniej określić przebieg i rezultat obrad nad rozporządzeniem rządowem.

Najmniej wątpliwem jest zachowanie się Koła polskiego. Nie brak w niem wprawdzie żywiołów, żądających z zasady oparcia się wszelkim krokom, zmierzającym do ścieśnienia wolności politycznej, lecz ulegną one niezawodnie karności parlamentarnej i zastosują się do woli większości, która jak zwykle jest wolą hr. Taaffego. Najdalej idącem ustępstwem, jakie potrafią wywalczyć sobie członkowie liberalni Koła polskiego, będzie chyba to, że przy głosowaniu nie oświadczy się ono za stanem wyjątkowym milcząco — *la mort sans phrase* — lecz z platonicznym dodatkiem, wyrażającym ubolewanie nad koniecznością tego kroku. Do uległości Koła wobec rządu w tym wypadku przyczyni się też niemało okoliczność, że na widnokręgu zaczyna się rysować coraz wyraźniej postać nowego ministra polskiego, którym będzie albo namiestnik Galicyi, hr. Badeni, odznaczony niedawno przez cesarza w sposób tak niezwykły, albo też prezes Koła polskiego, Jaworski.

O wiele trudniejszem do określenia jest dziś — jak wspomniałem już — stanowisko klubu hr. Hohenwarta. Sprzeczność zdań i zamiarów, objawiających się wśród tej grupy, doszła do tego stopnia, że obecnie można uważać za rzecz pewną, iż nie zechce ona wcale wystąpić solidarnie w tym wypadku, lecz pozostawi członkom swym wolność zupełną przy głosowaniu. Niejasnem jest natomiast dotychczas, jak skorzystają z tej swobody pojedyncze grupy drobne, wchodzące w skład klubu. Na pewno gabinet może liczyć tylko na chorągiew niemieckich konserwatystów pod wodzą Ebenhocha i na posłów bukowińskich. Równie pewnem jest, że nie dadzą się żadną miarą nakłonić do głosowania za rozporządzeniem słoweńcy i kroaci, należący do stronnictwa Hohenwartowskiego. Nie kryją się oni wcale z oburzeniem, jakie wywołał u nich krok hr. Taaffego i w najlepszym dla rządu razie usuną się pod wpływem nalegań ze stron innych od głosowania. Co się tyczy wreszcie szlachty czeskiej, żywiołu nadającego klubowi Hohenwarta właściwą jego barwę, to nieład i zamieszanie są tu większe, niż wśród jakiejkolwiek innej grupy parlamentarnej. Jest to zresztą bardzo naturalnem, gdyż położenie feodałów czeskich jest w wypadku obecnym nader kłopotliwe. Głosując za rozporządzeniem wyjątkowem, ściągają oni na swe głowy gromy oburzenia ogólnego w swym kraju, stają na stanowisku wrogiem wobec reszty narodu czeskiego. Głosując przeciw rządowi, sprzeniewierzają się dotychczasowej swej taktyce parlamentarnej i stosunkom osobistym, łączącym ich bądź to z hr. Taaffem, bądź też z namiestnikiem czeskim, hr. Thunem, którzy przy wydaniu rozporządzenia liczyli niezawodnie na ich pomoc. Alternatywa to fatalna, z której dotychczas zamknięci w niej nie znaleźli jeszcze wyjścia.

Jeśliby więc przy głosowaniu ostatecznem rząd miał być pozbawiony poparcia szlachty czeskiej, słoweńców i kroatów — a z możliwością tą liczyć się on musi w chwili obecnej — w takim razie punkt ciężkości położenia przenosi się do stronnictwa niemieckiego. Łatwo więc pojąć, że zaciekawienie ogólne odnosi się przedewszystkiem do postanowienia, jakie zapadnie w tej sprawie wśród stronników Plenera. Kwestya obecna posiada dla nich w wyższym stopniu, niż dla wszystkich innych grup parlamentu, znaczenie zasadnicze, gdyż noszą miano partyi „liberalnej" i byliby przeto w pierwszym rzędzie powołani do stanowczego oporu przeciw rozporządzeniu rządowemu. Zgadzając się na krok, będący oczywistym zamachem na prawa obywatelskie, zawarowane konstytucyą, zadaliby otwarcie kłam wszelkim hasłom, które wypisali kiedyś na swym sztandarze i przyznaliby się do tego, co zresztą mimo upartych zaprzeczeń i szumnych deklamacyj dzienników wiedeńskich oddawna nie jest tajemnicą dla nikogo — mianowicie że dla swych roszczeń rządowych gotowi są poświęcić nawet pozory liberalizmu.

Zamiary lewicy niemieckiej są dotychczas zagadką dla wszystkich, a prawdopodobnie i dla jej własnych członków. Znamienną jest jednak okoliczność, że wszystkie jej organy prasy widocznie za daną im wskazówką zachowują milczenie zupełne co do planów swej partyi, wystrzegają się ile możności wszelkich kombinacyj o wyniku głosowania, lub gdy nie mogą ominąć kwestyi dominującej dziś nad wszystkiemi innemi, wyrażają się o niej w zwrotach ostrożnych i dwuznacznych. Stąd wniosek nietrudny, że poza kulisami parlamentu hr. Taaffe i wodzowie liberalni dobijają właśnie targu i nie wątpią już o tem, że interes przyjdzie do skutku. Jaką ofiarą lub przynajmniej jakiem przyrzeczeniem okupi prezes ministrów poparcie niemców, nie wiadomo. Przypuszczać można, że cena kupna nie będzie zbyt wysoką, gdyż z jednej strony rząd przy układach posługuje się niewątpliwie argumentem, że rozporządzenie wyjątkowe stanowi tylko zadośćuczynienie za zniewagę, której doznał wspólnie z lewicą przy ostatniem posiedzeniu sejmu czeskiego, z drugiej zaś wskazuje zapewne na niechybną konsekwencyę niepomyślnego dlań wyniku gło-

---

19)

ARNE GARBORG.

SPOKOJ

(Przekład z upoważnienia autora).

(Dokończenie).

Nie śmiała pozostawać sama w domu. Na własną rękę przyjęła Torkjela Tualanda. Tylko na noc sobotnią i na niedzielę miał wracać do siebie.

Jak cień włóczyła się po izbie, pewna, że lada dzień legnie. Pewnego wieczoru, kiedy spostrzegła Enocha, idącego za sznurem na gumno, przelękła się tak, że do łóżka pójść musiała; Serinę i małe dziewczątka posłano po ojca... Czuła że tego dłużej nie wytrzyma. O wszystkiem dano znać Gunnarowi, wzywając, ażeby się koniecznie uwolnił i do domu wracał.

Przybył w najbliższą niedzielę. W pierwszej chwili Enoch odzyskał prawie wesołość: „a to kto, Dunnalek? — wybełkotał, jak gdyby mówiąc do małego dziecka. Gunnara rozpacz zdjęła na widok ojca. Niemyty, niegolony z włosem wilgotnym, przylepionym do głowy i czoła. z wykrzywioną twarzą, sinawo, prawie trupio blady, z oczami nieruchomemi, krwią nabiegłemi wyglądał tak, że syn go nie poznał.

Enoch wytrzeszczył oczy na Gunnara, zachmurzył się, nie podobał mu się chłopak. Ubrany po miejsku, wykwintny, sztywny, dumny, o pańskich manierach, smukły, blady, z wąsikiem — to miał być gospodarz na zagrodzie... W głowie jedynie upodobanie do błahostek, do strojów i błyskotek...

— Więc już na stałe wracasz? — zapytał i stanął tuż przed synem.

Ten pokraśniał, zmieszał się.

— Nie mogę się uwolnić; jeszcze to jakiś czas potrwać musi.

Anna westchnęła, Enoch klasnął palcami.

— Taka jest wola... taka wola! — I skierował się ku drzwiom.

— Idź-że za nim, mów do niego uprzejmie — rzekła Anna. Widzisz przecież, co się dzieje!

Gunnar poszedł, znalazł ojca w wozowni. Enoch stał, klaskał palcami i wykrzywiał się do wszystkich pięknych narzędzi, które niedawno kupił. Oto leżały i drwiły sobie z niego... I pocoś nas, ośle, kupował, skoro używać nie umiesz.

— Hm — odchrząknął Gunnar.

Enoch odwrócił się i nagle wpadł na chłopca.

— Nie powinieneś nosić wąsów, Gunnar! To są sztuki szatańskie, szatańskie, dość i tego, że ojciec twój do piekła pójść musi!

— Ale, co mówisz ojcze?!

Wciąż tak samo do syna przystając, głosem syczącym, szorstkim, dzikim, Enoch mówił dalej:

— A i tańczyć nie masz. Wiesz co? Kiedy byłem młody, chciałem się tańców nauczyć, nie mogłem jednak. Modliłem się trochę do Boga, lecz nie mogłem. Wtedy pomodliłem się do dyabła. „Kochany dyable, naucz mnie tańczyć! I nauczyłem się. Ale dziś dyabeł żąda zapłaty. Nie będziesz tańczył, Gunnar, przyrzeknij mi!

Gunnar pobladł, powiedział „przyrzekam," ale nie myślał o tem, co mówił. Gorsze miał rzeczy na sumieniu...

— Czy widzisz, że mnie Bóg opuścił, Gunnar? Widzisz? Wszyscy to widzą. Ale kiedy ty do domu wrócisz, jakoś sobie poradzę. Natychmiast otrzymasz zagrodę, a jeśli znasz dziewczynę, która ci się podoba, żeń się. Należy się żenić; bo w przeciwnym razie nieczysty duch zawłada człowiekiem. A stawiałeś-że ty dzielny opór temu duchowi, Gunnar?

— Tak... Chłopak mocno pokraśniał.

— Znajdujesz pewnie, że dziwnie wyglądam, co?

Zbliżywszy usta tuż do twarzy syna, mówił szeptem, sykiem.

sowania. Byłoby nią — rozwiązanie parlamentu, najstraszliwsza ze wszystkich ewentualność dla liberałów niemieckich, gdyż narażająca ich na dotkliwą klęskę przy nowych wyborach.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa więc rozporządzenie wyjątkowe zostanie zatwierdzone przez parlament, chociażby nawet głosowali przeciw niemu oprócz młodoczechów i narodowców niemieckich, którzy to ostatni oświadczyli otwarcie zamiar zerwania łączności z liberałami, feodałowie czescy, słoweńcy i kroaci. Poza tym faktem jednak, przewidywanym tu ogólnie przez opinię publiczną, otwiera się szerokie pole dla domysłów i fantazyj politycznych, po którem harcuje od dwóch tygodni cała prasa europejska. Między kombinacyami najróżniejszych rodzajów zasługuje na szczególną uwagę — owa, wedle której miało przyjść teraz do sojuszu stałego lewicy z Kołem polskiem. Mówią o tem z niezwykłym zapałem dzienniki niemieckie, gdyż stanowi on oddawna cel marzeń ich stronnictwa. Przypuszczenie jednak, że dla urzeczywistnienia tych marzeń istnieją w teraźniejszych stosunkach większe szanse, niż dotychczas, jest poprostu niedorzecznością, gdyż Koło polskie nie ma żadnej przyczyny, ani też chęci do zawarcia związku, który pozbawiłby je stanowiska uprzywilejowanego, zajmowanego przezeń obecnie wobec rządu i byłby dlań tylko rodzajem samobójstwa politycznego.

Wogóle słabą stroną wszelkich domysłów, dotyczących rozporządzenia wyjątkowego i dalszych jego następstw, jest to, że autorowie ich podsuwają rządowi w tym wypadku daleko sięgające plany i głęboko obmyślane rachuby polityczne, których on wcale nie ma. Wydanie rozporządzenia owego nie było bynajmniej ze strony hr. Taaffego oznaką zmiany zapatrywań co do polityki wewnętrznej, ani też zapowiedzią nowego systemu taktyki parlamentarnej, nie było ono wogóle wypływem jakichkolwiek rozważań logicznych, lecz mimowolnym odruchem, którym rząd odpowiedział na manifestacye młodoczeskie w chwili, gdy przybrały one charakter antidynastyczny. W Austryi skutek ten jest niechybny w podobnych razach, a wysnuwanie zeń dalszych przypuszczań co do zamiarów rządowych byłoby równie mylnem, jak wnioskowanie o woli i chęciach człowieka, oparte jedynie na kurczowem drgnięciu, które wywołało u niego ukłucie szpilki. *S—l.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Obrady delegatów rusko-niemieckich nad traktatem handlowym posuwają się ze szczerą chęcią z obu stron zawarcia układu. Drażnią one i trwożą partyę rolną w Niemczech, która z obecnego stanu rzeczy ciągnie znakomite korzyści i wogóle chciałaby widzieć wschodnią granicę zamkniętą dla obcego zboża. Ale przedstawiciele przemysłu ostrzegają rząd, ażeby nie dał się uwieść „agrarzystom,“ zapatrzonym wyłącznie we własny interes a ślepym na cudze. Długotrwałe zatamowanie odpływu towarów niemieckich sprowadziłoby—według Richtera — ruinę ekonomiczną i to w porze, kiedy naród jest powołany do największych ofiar materyalnych na rzecz wojska.

Minister skarbu uchylił już nieco zasłonę swych projektów, mających wypompowywać 100 milionów rocznie dla pokrycia kosztów pomnożenia armii. Ma więc przedewszystkiem — jak mawiał Bismark — „krwawić“ wino, które zostanie opodatkowane, zwłaszcza w wyższych gatunkach. Wino niemca nie tyle boli, co „das heilige Bier,“ o piwie wszakże nic jeszcze nie słychać.

Pomimo zaprzeczeń jest faktem, że ciężka choroba powaliła Bismarka na łoże i że on go już na długo nie opuści. Z Kissingen ma być przewieziony do Friedrichsruh z wielką ostrożnością i — jak szepczą wtajemniczeni — ze słabą nadzieją wyzdrowienia. Rzecz naturalna, że już nikt, posiadający odrobinę rozsądku, nie mówi o jego powrocie do władzy, a mniemane pojednanie z cesarzem zakończyło się na wymianie depesz.

Francya podpisała wreszcie układ z Syamem, równający się prawie zupełnemu zawładnięciu tym krajem. Gazety francuskie wydają okrzyki radości, angielskie zaś przeżuwają gniew stłumiony, oskarżając swoją dyplomacyę o niedołęztwo. Fakt ten przyćmił gwiazdę Gladstone'a, bo anglicy mogą się pogodzić zarówno z torysami, jak z whigami, ale nie pogodzą się nigdy z rządem, który pozwala innym państwom zbyt blizko przysuwać się do kolonii wielkobrytańskich i wogóle zdobywać ziemie w innych częściach świata.

Wątpliwą wydaje nam się wiadomość gazet, że mocarstwa za pośrednictwem swych pancerników postanowiły przeszkodzić dalszemu bombardowaniu Rio-de-Janeira przez admirała de Mello. Byłoby to bowiem pośrednie przyjęcie strony Peixota, który wydobywa resztki sił, ażeby wytrzymać morderczy ogień rokoszan. Zdaje nam się, że nikt nie ma żadnego interesu mieszania się w wewnętrzne sprawy Brazylii i że jej los pozostawiony będzie naturalnemu biegowi wypadków.

Niespodziewanie szybko bunt w Argentynie został stłumiony. Doniesienia telegraficzne zapewniają, że w kraju tym panuje zupełny porządek.

Panamizm włoski — sprawa Banco ramana — znowu się zaognił świeżemi „odkryciami.“ Do najbardziej nieoczekiwanych należy — nie wiadomo, czy prawdziwe, że Wiktor Emanuel czerpał z kasy tego banku znaczne sumy, które dopiero Humbert zwrócił.

BADANIA NAUKOWE.

Juliusz Lippert. *Historya cywilizacyi w zarysach, część druga: Rozwój społeczny ludzkości.*

Nasza epoka dopiero zwróciła baczną uwagę na społeczeństwo, formy społecznego bytu i rozwoju stały się przedmiotem gorliwych, metodycznych poszukiwań. Na społeczeństwo przestano zapatrywać się, jak na coś tajemniczego, nieznanego, pojęto je, jako coś całkiem realnego, jako nazwę zbiorową dla całej sumy łączników natury przedmiotowej i podmiotowej, jako najmocniejszy i najgłówniejszy oręż w walce o byt. Całe zbiorowe życie ludzkości — popędy moralne, sumienie, wierzenia, teorye — są wyrazem i rezultatem organizacyi społecznej. Wobec tego wszystkiego jej istota i rozwój nabrały szczególnej wagi. Wiedza — to znajomość otoczenia, otóż obecnie wraz z olbrzymim rozrostem nauki coraz bardziej na pierwszy plan wysuwa się znaczenie środowiska społecznego. Zasadą

— To dyabeł—dyabeł. Ten lęk w piersi, widzisz. Ten lęk! Co, ty go nie znasz? Lód, noc, noc i lód — tam, tam w głębi duszy...

— Ojcze, powinieneś...

— Pst, powiem ci coś. Za mną chodzi dyabeł; chce, żebym życiu swemu kres położył. Codzień, co wieczór...

— Tego... nie uczynisz, ojcze. Nie, nie uczynisz. Trzeba na to silnej woli, a ty jej z pewnością nie masz.

Enoch płakał.

— Tem się też pocieszam! Nie mogę, nie mogę. Nie mam siły!

— Nie, tego nie uczynisz!

— Biedny ojciec! Pięknie wygląda! I to ojciec, który tak wiernie zawsze... Więc i *to* — na nic! A ja, ja...

Gunnar nie wiedział, co począć.

— A jeżeli i ze mną źle będzie...

— Jest ktoś, kto ci pomoże — wyrzekł, rumieniąc się.

— Gdybyś mnie tylko mógł przekonać, że go niema — szeptał Enoch.

— Możebyśmy wrócili do domu, ojcze... tu zimno...

— Ale przyrzeknij mi, że w mieście nie zostaniesz. Musisz być przy mnie, doglądać musisz ojca... Sam się już chodzić boję; ilekroć zobaczę sznur lub postronek...

— Chodź, chodź, ojcze! Wziął ojca pod ramię i przemocą prawie zaciągnął go do izby.

— Silny jest — mruczał Enoch; poddawał się, jak dziecko. Żałosnym głosem dodał: Gdyby mnie tak zawsze silne ramię twoje podpierać mogło!

XV.

Pełen niepokoju wracał Gunnar do miasta.

Co czynić? Co? Nic się nie poprawi, gdy on z hańbą swoją do domu powróci!

To przekl... szkaradne stworzenie, z którem się wdał w ostatnich czasach... Durniem był, że na tamtych nie poprzestał... Teraz usiłował pozbyć się jej dobrocią i złością, chciał jej nawet dać cośkolwiek odczepnego; nikt przecież wiedzieć nie mógł, kto właściwie ojcem był jej dziecka; miała pewnie ze trzech... Ale czy to, że uroiła sobie, iż zostanie panią na Haawe, czy — że kochała go może doprawdy po swojemu, nie było na nią środka. Zaprzysiądz chciała, że on jeden tylko był jej kochankiem, a synek jej będzie wiedział, kto jest jego prawdziwym ojcem... A do d....., żeby też tak wpaść!

Choćby, Bóg wie jak, głowę sobie suszył, nie było dlań innego punktu wyjścia, prócz Ameryki. W domu źle się działo... Matkę potrafiłby jeszcze przekonać, wzięłaby rzeczy tak, jak są, rozsądnie; ale ojciec... A jednak innej rady nie było! Dalibóg, niby się w domu na lepsze nie zmieniło, gdyby on z dzieckiem wrócił...

A w dodatku z żoną — ladacznicą!

Przeciwnie, gorzej by było. Trudno, ojciec musi się z tem pogodzić. Napisze do niego tak ładnie, mądrze... przyrzeknie, że za kilka lat wróci... Ojciec życia sobie nie odbierze; ci, którzy o samobójstwie mówią, ręki na siebie nie podnoszą.

Ojciec wmówił w siebie tylko to pragnienie jego powrotu. Miłość ta tkwiła niezbyt głęboko. Ot, uroił sobie to kochanie. Chorzy tyle w siebie wmawiają. Gunnar dawniej nie dostrzegł nigdy, żeby miłość ta była tak gorącą.

Nie pojedzie. Jeszcze raz z dziewczyną pomówi, a gdy to nie pomoże, jechać musi. Wreszcie pójdzie w świat, a tak długo o tem marzył.

Pewnego dnia powrócił z miasta Helge i przyniósł Annie list z zawiadomieniem, że Gunnar wyjechał do Ameryki.

„Jeżeli powiedzą wam o mnie coś złego — pisał — nie wierzcie. Powrócę za lat kilka, gdy wszystko przebrzmi, a wtedy wszystko wam objaśnię.“

Anna rozchorowała się.

Najgorszem jednak było powiedzieć to Enochowi. Ale powiedzieć było trzeba, wiadomość dojść go mogła skądinąd. W trosce tej poradziła się Torkjella; ułożyli sobie zręczny plan, wykonanie go zaś Torkjell wziął na siebie. Najlepiej listu nie pokazywać. Koniec dałby mu wiele do myślenia.

Nazajutrz mieli kopać torf.

naczelną myśli naukowej jest obecnie pojęcie ewolucyi; chcemy gorąco poznać, jaką drogą odbywał się rozwój ludzkości, tj. wciąż podążająca naprzód odpowiedniość, zgodność pomiędzy zjawiskami przyrody, a potrzebami i dążeniami człowieka. Jest on wpleciony w odmęt zjawisk świata, które sobie przeciwstawia. Już sam instynkt samozachowawczy, konieczność uporządkowania i uregulowania wysiłków swych w walce o byt, prowadzi nieuchronnie do wiedzy. Ale żadna wiedza nie jest naukową, póki świadomie nie poddano krytyce metody, za pomocą której ją nabyliśmy. W socyologii wymaganiom i podstawom takim najbardziej odpowiada pogląd dyalektyczny, materyalizm dziejowy. Poddał on krytycznej, wszechstronnej rozwadze wszelkie inne kierunki badawcze i doktryny, wykazał ich źródło, ma sposobność ustawicznego sprawdzania swojej metody, swoich założeń. W praktyce atoli grozi mu pewne wyjałowienie, pewne zasklepienie się w dogmatyzmie, lub też grube i naiwne spospolitowanie zasad, będących, jak w każdej innej nauce, tylko konstrukcyami idealnemi. Wiedza postępuje od najwidoczniejszych do najskrytszych objawów. Otóż w socyologii jedynie tylko materyalizm ekonomiczny potrafił dojrzeć pod osłoną bałamutnych i luźnych zjawisk czynniki typowe, górujące w tym wirze. Bada on zjawiska społeczno - dziejowe z punktu widzenia najbardziej nieosobistego, a właśnie rozważanie stosunków nieosobistych jest zadaniem nauki.

Lippert jest badaczem bardzo poważnym i sumiennym, socyologia wiele mu zawdzięcza. Prace jego przyczyniły się sporo do ugruntowania i roszerzenia podstaw i ram nadmienionego powyżej kierunku. Pierwsza część niniejszego dzieła rozpatrywała człowieka w jego walce o pożywienie i środki do życia. „Dotychczas zajmowaliśmy się — powiada Lippert — wyłącznie zdobyczami troski o byt w jednym jej kierunku i doszliśmy do wynalezienia narzędzi i broni, do sztuki dobywania ognia, uprawy roli i hodowli bydła. Jednocześnie wszakże taż sama troska o byt prowadzi do rozwoju pewnej społecznej organizacyi, doskonalszej od tej, którą stwarza ludziom naturalny ich instynkt. Im ściślej podobny sposób tworzenia się społeczeństw związanym jest z wymienionemi wyżej zdobyczami troski o byt, tem więcej różni się on od instynktownego kupienia się jednostek.“

Organizacyę rodzinną L. uważa za zarodek form społecznych. Niektóre formy — powiada — rozwinęły się bezpośrednio z rodziny, inne zaś powstały drogą naśladownictwa. Jak widzimy, zagadnienie zostało postawione dogmatycznie, nieumiejętnie. L. z pedantyzmem drobiazgowego badacza sądzi, iż tak łatwo ustalić wszystkie ogniwa w łańcuchu form społecznych. Konsekwentnym jest wyznawcą *prawa macierzystego* i dziedziczenia po linii żeńskiej w epoce zarannej dziejów ludzkości. Matka podtrzymuje ognisko domowe i strzeże je od wiatru i słoty, buduje stałe siedziby i wszędzie występuje, jako przedstawicielka dążeń do życia osiadłego. Mężczyzna stanowi żywe z nią przeciwieństwo; broń w jego ręku zrobiła go również niestałym, jak i zwierzyna, za którą się ugania. Dopiero mężczyzna jednak potrafił stworzyć trwalszą i odporniejszą organizacyę. Jako *pan* ujął w swe dłonie władzę — do niego należą kobiety, dzieci i oto powstał nowy ustrój rodzinny oparty na *prawie ojcowskiem* i na panowaniu mężczyzny. Wszystkie formy późniejsze wyprowadza autor z rodziny. Władza ojcowska wreszcie w organizmach państwowych zośrodkowuje się w osobie głowy państwa. W sprawie ukształtowania się tej władzy niepospolitą rolę odegrała religia. Wyobrażenia religijne przechodzą powoli w kult ojca rodziny. Ten ostatni jest niejako żyjącem siedliskiem potężnego ducha pierwotnego, a ponieważ duchom własności wydrzeć nie można, panuje on zatem nieograniczenie nad rodziną, ludem lub państwem. Stąd też patryarchalny ojciec ludu jest niejako fetyszem bożka. Stąd pochodzi cześć, jaką mu oddają i jego nietykalność, w końcu zaś i zupełne utożsamienie fetysza z duchem boskim, który ma go ożywiać.

Król — ojciec ustanawia pory roku; on błogosławi żniwa, zsyła deszcz lub pogodę, sprowadza pomyślność. Taż sama jednak okoliczność może się przyczynić do jego upadku, o ile obok niego wytworzy się potęga kapłańska, roszcząca prawo do bezpośredniego obcowania z bóstwem. Drugim czynnikiem przeważnych obok stosunków rodzinnych jest w dziejach własność. Pojęcie jej warunkuje się sposobem zarobkowania. W nastarszych czasach własność składała się wyłącznie z przedmiotów ruchomych. Jest ona ściśle osobista. Wszystko, co człowiek zdobył dla własnego użytku, idzie za nim do grobu; w przeciwnym razie duch jego nie miał by spokoju. Wraz z rozwojem pojawia się także niewolnictwo. Wszystkie formy społeczne są właściwie wyrazem rozwoju i stopnia napięcia troski o byt. W pierwotnym ustroju zupełnie inne czynniki regulowały byt społeczny. To, co my nazywamy sprawiedliwością, prawem lub obowiązkiem, nie istniało tam; istniały tylko zwyczaje podania.

Dziełko L. cenne jest pod tym względem, iż unaocznia licznymi i starannie dobranymi przykładami znane teorye socyologiczne. W ciekawy i rzetelnie sprawdzony sposób wyjaśnia autor znane zwyczaje, praktykowane przez mężczyzn podczas porodu dziecka. Mąż, zapanowawszy nad domem, wciąż żył w obawie, że Bóg zechce mu odebrać świeżo narodzone, lub też tylko pierworodne, dopóki nie otrzyma ofiary. Tak więc, ażeby zdobyć i zachować przy życiu dziecko, mężczyzna składał ofiarę, wstrzymując się czas jakiś od spożywania swoich wytworów, szczególniej zaś rolnych — „świętował,“ „pościł“ — lub też, raniąc się umyślnie, przelewał krew. Podanie o amazonkach, wszędzie napotykane, wyjaśnia się tem, iż w niem odbiły się tradycye walk, długo i uporczywie toczonych pomiędzy mężczyzną a kobietą o przewagę społeczną.

Słusznie zaznacza autor, że w kwestyi rodziny poligamicznej sądu swego nie możemy opierać na bezczynnem i próżniaczem życiu haremowych odalisek. Nienawiść i kłótnia bynajmniej nie cechują małżeństw poligamicznych. Zazdrość wobec obowiązku troszczenia się o dzieci rzadko kiedy znajduje miejsce w domu. Pilność i pracowitość kobiet zuluskich niejednokrotnie była zaznaczana; najpilniej jednak pracuje zuluska, ażeby za zgromadzone mienie mężowi swemu módz kupić — drugą żonę. Cień zazdrości nawet znika u tej ciężko wypróbowanej kobiety; wie ona, że tym sposobem i sama odniesie znaczne korzyści. Część pracy zwala ona wtedy na barki swej towarzyszki, staje się kierowniczką domu, „panią“ jego obok pana i sprowadza do domu bogactwo i poważanie.

Ozdoby niegdyś, w zaraniu dziejów, zu-

— Ach prawda, rzekł Torkjell; spotkałem wczoraj Helgego, przyniósł ukłon od Gunnara; tylko się na chłopca nie srożcie; taką miał gorącą chęć rozejrzenia się po świecie, zanim na seryo w zagrodzie osiądzie; na loteryi wygrał trochę pieniędzy i oto pobędzie trochę w świecie, póki nie uzna, że dość już umie. Ho, Gunnar ma wielkie pomysły; jeszcze go kiedy zobaczysz w storthingu!

— A dokądże to jechać zamierza?

— Zawsze przecież rwał się tak w świat; przedewszystkiem chciał teraz obejrzeć kilka przedziwnych maszyn, które ludzie wynaleźli tam, za morzem, w Ameryce...

— W Ameryce! — Bodajby tylko stamtąd wrócił!

— O tem chyba nie wątpisz! Takiej zagrody, jak Haawska, na ulicy nie znajdzie!

— Że jednak nic o tem nie wspominał, będąc w domu!

— Et, pewnie sam jeszcze nie był zdecydowanym, a i was nie chciał niepokoić.

Enoch nie pojmował; Torkjell gadał, gadał, nie przywiązując niby do faktu żadnej głębszej wagi; nagle Enoch odwrócił się i skierował ku domowi; Torkjell za nim.

Enoch zaprzągł kasztankę do bryczki, postanowił jechać do miasta. Był wzburzony, chciał wiedzieć wszystko...

— Tylko nie wierz wszystkiemu, co ci tam gadać będą — politykował Torkjell; wiesz przecież, ludzie zawsze mają coś do powiedzenia o takich junakach, jak Gunnar, a wcale jeszcze nie dowiedziono, czy Gunnar zadał sobie tyle trudu, aby wytłomaczyć się przed nimi tak, jak tłomaczy się wobec was...

Enocha ogarniał coraz większy niepokój. Odjechał.

Pierwszą osobą, którą w mieście spotkał, był student Olsen; przeszedł sztywny, prosty, skłonił się i wyraził swoją „kondolencyę.“ Pijanym był, mówił z pańska.

— Tak, dzika natura tkwiła w tym chłopcu. A kiedy takie źrebię puszczone zostaje na wolę...

— Wybacz mu, druhu. Uległ sile, której ulegamy wszyscy; uległ kobiecie.

Enoch obruszył się, pytał, żądał wyjaśnienia... lecz Olsen był w humorze kaznodziejskim.

— Mówisz o zbawieniu; Jehoszna, czyli Jozua, jak powiadasz, pokonał dyabła, świat i tak dalej. Lecz o jednem zapomniał, przyjacielu, o jednem zapomniał. W spojrzeniu i uśmiechu kobiety czyha jeszcze dawny wąż. I wciąż jeszcze historya grzechu pierworodnego dźwięczy w klasycznych słowach: I kobieta dała mu i jadł z niego.

— Więc to kobieta?

— Nawet król Dawid uległ kobiecie, pięknej Batsebie uległ, która z wyrachowaniem kokietki tak się kąpała, że stary grzesznik widzieć ją mógł z wyżyn dachu swojego. I dlaczegóż ja, Ole Chrystyan Olsen, kręcę się tu jako błazen społeczeństwa chłopskiego, jako dromedar w puszczy, dlaczego, jeśli nie gwoli dyabelskich *feminina*, przyzwoitych i nieprzyzwoitych, które spotkałem pewnego dnia, w wiośnie mego życia i w tym historycznym punkcie, gdzie kończy się cnota a zaczyna — śliska droga do piekła. Więc nie dziw się synowi twojemu, Enoch. Bo napisano: kobieta jest drapieżnem zwierzęciem z rodziny płazów, a mężczyzna głupim kozłem z rodźiny baranów. Adieu, Enoch! Bądź rozsądnym!

I dumnym krokiem puścił się w dalszą drogę.

Kiedy nazajutrz Enoch wracał do domu, wiedział już o wszystkiem.

Jeszcze nie pojmował, nie wierzył jeszcze; lecz powoli wieść zasłyszana niby falą zalewać go zaczęła. I zrobiło się tak cicho wokoło niego, a w ciszy był taki szum, taki wir. Głowa płonęła mu i przed sobą widział wciąż czarną plamę.

Ludzie, przemawiający do niego, nie rozumieli, czemu nie odpowiada. Większość nie poznawała go. Musiał się upić.

Anna leżała, zmęczona troską i bezsennością, niespokojna była zwłaszcza o Enocha. Kiedy późno wieczorem usłyszała turkot zajeżdżającej bryczki, uczuł. się szczęśliwą i natychmiast też zasnęła.

Serina podała ojcu jadło i oddaliła się do swojej izdebki. Torkjell zaprowadził szkapę do stajni i za Enochem wszedł do

pełnić inny miały charakter, niż obecnie. Wiązały się z człowiekiem ściślej i nieraz dzielniej, gdyż początkowo wyryte były na ciele i stanowiły niejako część jego. Lippert biegle odczytuje wszelkie zabytki i pozostałości kultury, wszelkie zwyczaje i instytucye i wykazuje ich treść początkową. Pod tym względem dziełko jego posiada niepoślednią wartość. Igrzyska rzymskie np. znajdują się w blizkiem pokrewieństwie z krwawemi ofiarami wszystkich innych ludów. Morderstwa stały się zabawą i potrzebą. Późniejszą szlachtę, stan rycerski wyprowadza L. z dwóch pni: szlachty patryarchalnej i służbowej. Nie wszędzie grunt okazał się podatnym do powstania i wzrostu patryarchalnej. Przedewszystkiem szlachta plemienna, gdziekolwiek istniała, stała temu wzrostowi na przeszkodzie. Również przeszkadzał starożytny system formowania się państw, na mocy którego prawa i władza ojcowska ześrodkowywały się w jednej osobie.

Lippert nie posiada szerokiej metody socyologicznej i wogóle nie jest umysłem twórczym. Kto zna współczesne prace socyologiczne, zwłaszcza dzieła Engelsa, Zibera, M. Kowalewskiego, Miecznikowa (Les grands fleurs historiques), ten w wielu punktach nie zgodzi się z nim i wogóle dojrzy sporo usterek i uchybień. Przędziwo dziejów snuje się u niego prosto i względnie pokojowo. Badaczom tego gatunku godzi się przypomnieć słowa Wundta: „Praw zjawiskowych nie można odrazu uchwycić w garść; dojść do nich można tylko drogą długą i poboczną, wnioskując o nich z ogólnej współzależności zjawisk.“

Br. Ch.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Heine w rodzinie *).

Gdy dnia 17 lutego 1856 r. śmierć litościwa przywarła powieki Heinego, powieki, które na kilka miesięcy przed zgonem musiał ręką podnosić, chcąc kogo ujrzeć, Niemcy jednym zamachem pióra wykreśliły wielkiego poetę z pamięci. Zapomniano o nim. Przez połowę niemal życia łżono go i obryzgiwano najbrudniejszemi i najbardziej dziecinnemi obelgami, po śmierci nie rzucono na jego mogiłę kilku drobnych kwiatów wspomnienia. Z pism ledwie trzy, cztery doniosły o śmierci, a pochód pogrzebowy złożyło kilkunastu przyjaciół.

Zdawało się, że wielkie imię zapadło w niepamięć, jak kamień spuszczony w głąb morza. Stoczył się w fale i legł na dnie. Słońce do niego nie docierało, chwytały się go tylko algi...

Dopiero w siódmym dziesiątku zaczęto o Heinem mówić. Należy to zawdzięczyć przyjaciołom. Nie zasypiali oni sprawy, budowali pomnik, kładąc płytę na płytę. W kilka miesięcy po śmierci Alfred Meissner napisał „Wspomnienia o Henryku Heinem,“ w dziesięć lat potem Strodtmann dwutomową biografię. Karpeles zbierał drobne notatki. Nareszcie i rodzina przypomniała sobie piewcę i w r. 1876 brat Maksymilian, w 1882 i 1883 siostrzenica Marya della Rocca wydali: pierwszy „Wspomnienia,“ druga „Wspomnienia“ i „Szkice o H. H.“ Z polecenia matki obecnie brat Maryi Embden wysłał w świat więcej niż setkę listów pisanych do rodziny. Zatytułował je: „Życie rodzinne.“

Razem więc ze źródłami francuskiemi, wspomnieniami mniejszemi i danemi zawartemi w dziełach poety, materyały do biografii Hejnego są bogate. Stanowisko, jedno z pierwszych w Olimpie niemieckim wywalczone, wydania ludowe z ostatnich lat spopularyzowały jego utwory.

Listy ogłoszone przez Embdena pisane są głównie do siostry, potem do matki. Obejmują 36 lat życia, z dużemi jednak przerwami. Między listem dwudziestym i następnym leży osiem lat. Nieprzerwanie snuje się korespondencya od r. 1841.

Po nieudatnych próbach karyery handlowej, po nauce u Vahrenkampfa w Dusseldorfie i praktyce bankowej we Frankfurcie, wreszcie po zlikwidowaniu sklepu otwartego w Hamburgu pod firmą Harry Heine, postanowiono Henryka wysłać do uniwersytetu. Zdawszy więc odpowiedni egzamin, zapisał się w r. 1819 na prawo w Bonn. W sercu jego nie zabliźniły się jeszcze rany pierwszej miłości, późnymi wieczorami powstawały „pieśni.“ Gdy „siedział blady,“ wchodziły do izby cienie i rozpoczynały wokoło niego pląsy...

Nie przepełniony tym smutkiem w pieśni, ale owiany ich reminiscencyami, pierwszy list wysłał do siostry dnia 22 marca 1820 r. „Droga Karolciu! Musisz mi napisać, co z Wami i jak poszła podróż? (rodzice przeprowadzili się z Oldeslö do Luneburga). Zapewne gdy odjeżdżaliście, sala kasyna muzycznego była zawieszona czarną krepą, przez dwa tygodnie potem nikt nie słyszał *allegra*, tylko *adagio*. A ulice, jakże muszą być teraz puste! Czy płakałaś też przy wyjeździe? Jakże w drodze? Siedziałem niejednej nocy na swem krześle drewnianem i czytałem mechanicznie wielkie uczone książki. Myśli tymczasem uganiały się po wrzosowisku luneburskiem i zaglądały trwożnie, czy wasz woźnica nie zasnął, czy po dobrej drodze wóz idzie i czy koło nie złamało się.“

List następny datowany z r. 1823. Większość pieśni już była gotowa, w duszy poety na tle smutku i stałej choroby wyrobiła się zjadliwość. „Ślina mi gorzka w ustach — pisze wówczas do przyjaciela Christianiego, skarżąc się na ból głowy — zapominam o tem dopiero wtedy, gdy piszę gorzkie aforyzmy.“ W r. 1824 powstaje „Podróż do Harcu,“ nieco później „Norderney.“ Więc przez listy przemykają jak błyskawice uśmiechy ironii, błyski satyry.

„Dopiero o 1-szej wyjechałem z Hamburga, ładna pogoda i prędka jazda. Jeszcze to zawsze stary, mrukliwy Luneburg. Stolica nudów. Ami nie posiadał się z radości.“

Styl „Harzreise.“

„Z Ami było mi także ciężko żegnać się. Małe szelmostwo uprzyjemniło mi doprawdy niejedną godzinę. Co wieczora, gdy czytam, psina siada sobie na moje plecy i poczyna zawsze szczekać, gdy przyjdę na ładne miejsce książki. Ami ma więcej rozumu i uczucia, niż wszyscy niemieccy filozofowie i poeci.“

„W drodze do Harcu miałem niepogodę. Śnieg padał, jak gdyby wszystkie niebieskie zastępy chciały na mnie wytrząść swoje pierzyny. A nadto siedziałem na wpółotwartym przodzie, obok parasolnika, którego czerwony płaszcz wydał mi się nareszcie sobolowym. I myślałem o tobie i mówiłem: niech pada śnieg dalej w imię boże, a gdy — trara! trara! — chłopak z wózkiem pocztowym przepędził przy

*) L. Embden, *Heinrich Heines Familienleben*. Hamburg, 1893.

---

pokoju. Wydało mu się, że Enoch bierze rzecz spokojnie, rozsądnie, trochę jest jakiś cichy, dziwny, no, ale przecież wymagać niepodobna, aby się weselił.

— Gryźć się o to nie warto, Enoch! Chłopak wróci! Gorzej by było, gdyby ci go śmierć zabrała. Prawda! A wkrótce otrzymasz od niego list i usłyszysz, jak mu się tam wiedzie. Prawda! No, więc dobranoc, a śpij spokojnie!

Enoch siadł na ławce koło okna; tak tu było ciepło. Tik-tik, tik-tik...

— Gdyby tak teraz wziąć siekierę i porąbać ich... mniej byłoby gęb do karmienia. Jechać do Ameryki; niejeden do Ameryki jedzie. Ale czy mu tam ktoś nie powiedział, że Gunnar miał bękarta?

Wokoło zaległa taka cisza. Właściwie powinienby teraz być gdzieindziej; nie może sobie jednak przypomnieć, gdzie... Tik-tik, tik-tik... Siekiera?.. To było wczoraj... wczoraj...

Czas mijał; Enoch siedział.

Tak mu było gorąco, jak gdyby kto żelazkiem rozżarzonem mózg gładził. Lecz gdyby wyszedł przed próg — wezmą go, na niego czekają... O, już ich słyszy. Mówią i są gniewni. Nie wychodzić, nie!..

Ale kiedy nie podobają mu się te dwie szare postacie, które do izby weszły; czego chcą? Straszne to, jak idą i ślizgają się, i suną cichym, ostrożnym krokiem kocim. Stają tuż — tuż koło niego; *chap* na niego... *chap*... podstępne, szare... patrzą! — czyżby go znały? — jakież puste, okropne oczy! Jedna z tych postaci wślizguje się na ławkę, w kąt, tam gdzie on sam siedzi, po za nim; siada i czyha, wytrzeszczywszy oczy — czyha, ma pewnie jakieś złe zamysły. Oczy szarawe, zimne, straszliwe... słupem ku niemu zwrócone; jakie miała zamysły? — ale zupełnie, jak gdyby go znały.

Przykro tu. Cicho, cichutko wstaje z miejsca pod ścianą. Wysuwa się z po za stołu; potem krok w krok — ku drzwiom... obie postacie *chap* za nim... *chap*... cofają się jednak, gdy ostro na nie spojrzy... Pst, pst... Cicho otwiera drzwi, niby ukradkiem wychodzi i znowu je zamyka.

Cicho wysuwa się do kuchni i tu drzwi zamyka, potem tylnem wyjściem — na dwór; gdy i te wrota zamknął, zdało mu się, że jest bezpiecznym.

— Ot, teraz same tam siedzą; same siedzą; he, he, he!..

Lecz tu znowu szare postacie. Wskakuje po za wozownię, chowa się, stoi, zerka — przychodzą. Coraz ich więcej, więcej; ciche, lekkie, jak cienie... więc w nogi. Przesadza płot, biegnie dalej, wciąż dalej aż do paśnika; ale one za nim.

Coraz ich więcej, więcej. Cały hufiec strasznych, szarych upiorów. Gdy stawał, stawały i one; lecz gdy biegł, i one biegły. Nie podoba mu się to tropienie. Czegóż chcą od niego? — Znowu biedz zaczyna. W dół, błoniem, aż do strumienia, w dół, wybrzeżem, wciąż w dół... obejrzy się, a widzi, że coraz są bliżej; i coraz ich jest więcej, więcej, całe koło szarych mężów. Chcą go obsaczyć... biegnie, jak gdyby szło o życie.

Wstrzymuje go wielka jakaś woda. A oto schodzą się ze wszystkich stron, tu— z wybrzeży, i tam z wyżyn i *chap* na niego, *chap*, *chap*, *chap*... a te z tyłu coraz już są bliżej, bliżej. Ręką w powietrzu płazuje, nogami ich odpędza, ale jest ich za wiele; nagle spostrzega męża strasznie wielkiego, który na głowie ma rogi.

Oczy słupem mu stają; okropny śmiech wybucha z przytłoczonej trwogą piersi; zrywa się w szalonym skoku — prosto w wodę.

Ciężki, stłumiony plusk — jeden tylko. Dwie, trzy silne fale uderzają, niby westchnieniem, o kamienie wybrzeża. Enoch nie wypłynął. Ugrzązł zapewne w mule.

Południowy wiatr cichem swojem tchnieniem gładził powierzchnię jeziora. I wzdycha tam coś, i pluska tak poufnie, tak cicho... pluska, wzdycha... wzdycha... pluska.

Przeloż. *Malwina Posner.*

mnie, serce mi się wzruszyło i myślałem: ten ma pewnie listy i za trzy dni one będą w Hamburgu i zazdrościłem listom."

Podobne ustępy są dość częste do roku 1826. Przygody opowiadane w sposób żartobliwy, słowa francuskie śród niemieckich, żarty wesołe charakteryzujące dzieła. „Pisz do mnie często do Göttingen, twoje listy są dla mego serca prawdziwymi bonbonami." „Proszę cię bardzo, przechadzaj się często, abyś zanadto nie zgrubiała. Nie stań się obywatelką Hamburga." „Bądź zdrowa, droga moja laleczko kryształowa. Zrób mi parę włóczkowych pantofli."

Ogłoszenie „Obrazów z podróży" ściągnęło na niego burzę. Uchodząc przed policyą pruską, wyjechał do Anglii, podróżował potem po Włoszech, wrócił na wiadomość o śmierci ojca do Hamburga i przesiedlił się następnie do Paryża. Myśli o karyerze adwokackiej — 1825 r. zdał doktorat i wychrzcił się, gdyż praktyka adwokacka była dozwolona w Niemczech tylko chrześcianom — zarzucił. We Francyi w *Revue des deux mondes* ogłosił kilka swoich utworów, drukowanych już po niemiecku, doznał wielkiego powodzenia i stał się wkrótce jednym z najulubieńszych pisarzów paryskich.

Podtrzymało go to w chwili, gdy sejm pruski zabronił wstępu jego dziełom, napisanym i mającym być napisanemi.

Z czasów tych niema prawie listów od rodziny. Dopiero gdy rodacy zbiegli po ruchach w okresie trzeciego dziesięciolecia b. wieku, Börne i inni, w kraju głównie Gutzków poczęli próbować na nim żądeł, gdy musiał mieć aż pojedynek z niejakim panem Straussem, zbliżył się do niej więcej. Pisuje odtąd do matki i siostry.

W przeddzień pojedynku chcąc zabezpieczyć byt kobiecie, z którą kłócił się od lat sześciu, którą poznał jako podlotka i kazał kształcić, wziął z nią ślub. Strauss zranił go tylko w nogę, ale poślubienia Matyldy Mirat poeta nigdy nie żałował. Była to kobiecina bardzo dobra, zacna trochę piękna, jednak zawsze myśląca o swoim Henri. Więc w każdym niemal liście Heine wspomina o niej czule.

Ale przebłysków humoru w tej części listów mało. Czasami spotykają się, ale zazwyczaj ból listy przetrawia. Bo od r. 1840 roztacza się straszna tragedya choroby *) poety. Już w młodości czytamy o ciągłych bólach głowy, o kąpielach pobieranych w celu leczenia się. Praca i zdenerwowanie coraz bardziej wycieńczają wątły organizm.

„Głowa mi ciąży od pracy, jestem jak ogłuszony" — donosi poeta w listopadzie 1842 roku. W trzy miesiące potem pisze do matki o paraliżu prawego policzka...

Paraliż to cofa się, to naprzód kroczy, Harcuje jak rota ułanów. Ostatecznie posuwa się dalej. „Może kiedy do dyabła przyjdzie pióro rzucić" — pyta Heine sam siebie. Odwiedza matkę w Hamburgu, jedzie morzem, bawi się z dziećmi siostry i przesiadując nad brzegiem Alstery, prawi siostrzeńcowi o książkach, jakie ma czytać, lub goni wzrokiem płynące na rzece łabędzie. Ogłasza poemat „Niemcy," wraca zdrowy. W r. 1847 kurcz poczyna mu ściągać w dół powieki, a w początkach 48 apopleksya chwyta nogi i twarz. „Od czternastu dni jestem tak sparaliżowany, że muszą mię nosić, jak dziecko. Nogi niby bawełna. Oczy — strasznie źle. Jednak serce, mózg i żołądek zdrowe."

Mózg był zdrów. Choć ciężka spadła niedola na poetę, talent jego pozostał wielki, jak przedtem. Zieleniał niby jodła zimą. „Lutetia" i „Romancero" świadczą o tem. Nie powstaje z łóżka od tego czasu... Szczląg i łóżko, łóżko i szczląg. Oczy bolą, całymi dniami musi pozostawać bezczynnym.

Wydobywa się wtedy z jego piersi okrzyk rozpaczy. „Moje zdrowie nie polepszyło się, a najsmutniejsza to, że żyję. Nie bój się o mnie, droga matko, ale na litość istotnie bardzo zasługuję. Cierpię nieraz najstraszniejsze katusze i jestem przytem zupełnie skrępowany. Od dwóch miesięcy nie mam władzy w nogach, wożą mię na krześle z kółkami. Jestem biednym, okaleczałym człowiekiem."

„Nie najgorsza to, siostro, umrzeć — pociesza ją po śmierci córki — ale męczyć się długo. Zazdroszczę wszystkim, których choroba szybko zabiera."

Powoli oswaja się z tym stanem, lecz zmiana pogody, lekkie przeziębienie pociągają zaraz komplikacye. Jedno z przeziębień przyspieszyło wreszcie zgon.

Zgasł po ośmiu latach męki. Dr. Gruby oświadczył mu w piątek 15 lutego, że wnet umrze. Jednak męczył się jeszcze trzy dni.

Większość stu dwudziestu dwóch listów zajmują sprawy codzienne. Jest to zrozumiałem, z siostrą i matką rozprawiał poeta o rzeczach najbliższych. Jednak znajdują się tam cenne dane do wyrobienia pojęcia o charakterze poety, jego życiu wewnętrznem.

Mamy przed sobą człowieka bardzo wrażliwego. Pęk nerwów. Wyprowadza go z równowagi niepogoda, złe pióro, śmierć w domu, gdzie mieszka. „Gdy ci pisałem ostatni raz, w kamienicy leżały dwa ciała, dwóch sąsiadów zmarło na tyfus; jeden młody trzydziestoletni pozostawił żonę i dzieci bez pomocy. Matylda była chora i na dworze bardzo zimno. W takich warunkach nie pisze się najlepszych listów."

Potrzebuje też czegoś, coby uspokoiło, pogłaskało biedne te nerwy. Musi podróżować, wyjeżdżać latem na wieś. Lubi słodycze, chwali ciastka siostry i pyta: „czy macie tam dość cukru, aby nakryć poziomki i podścielić pod nie?" Za to nie znosi piwa, wina, pije bardzo mało i nigdy nie pali.

Drugi rys: wielka dobroć. W młodości jeszcze pisze do narzeczonego siostry: „Cieszy mię bardzo, że przyszły mąż Karolci życzy długiego żywota formom istniejącym. Na mnie inne warunki oddziaływały. Zawsze czuję się nie w humorze, gdy wyczytuję przypadkiem z pism, że na ulicach Londynu zmarzło kilku ludzi, a na drogach Neapolu padło z głodu."

Dzieli się groszem z potrzebującymi, wspiera hojnie rodaków. Gdy służąca niedawno wzięta zapadła na tyfus, nie ma serca odprawiać jej, lecz trzyma dwa miesiące u siebie i żona ją pielęgnuje. Dzieci siostry kocha bardzo serdecznie, na kilka tygodni przed śmiercią opowiada bajki dzieciom przyjaciółki żony, o ciastkach w niebie i aniołach obcierających usta białemi skrzydłami. Każdy smutek rodzinny odczuwa do głębi, a siostrę i matkę obsypuje najczulszymi wyrazami i wciąż im wysyła podarki.

„Jak tam tobie w twoim gołębniku na Dammthor — pyta matkę. Czy ciepło Ci? Chciałbym nieraz polecieć do Ciebie i zatkać wszystkie szparki domu, abyś nie zmarzła."

Nic dziw, że gdy syn jej umarł, biedna staruszka ciężko zaniemogła.

Uzupełnienia biograficzne Embdena są przeważnie dobre. Według nich Heine cieszyłby się z przyłączenia Alzacyi do Niemiec, ostrzegał w „Lutecyi" przed socyalizmem, i odznaczał się wielkim pietyzmem względem rodziny.

W. Bugiel.

*) Heine umarł na *tabes*. *Red.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO.

29 września.

I.

Dr. Szymański jako burzyciel ładu i porządku.— Jego klęski. — Organizacya stronnictwa ludowego. — Jego przeciwnicy. — Nowe pisma na górnym Szlązku. — Szkolne kasy oszczędności.

Wybory się skończyły, rezultat głosowania nad projektem wojskowym już znany, a tu jeszcze kotłuje się i burzy wbrew dotychczasowej praktyce. Jak przedtem, tak i teraz sprawcą tego ruchu jest nie kto inny, tylko dr. Szymański, około którego życie społeczne i polityczne naszej prowincyi obracać się zaczęło.

W ostatniej mej korespondencyi donosiłem o t. zw. komitecie wyborczym i o klęskach jego dotychczasowych oraz o zabiegach, aby się utrzymać na dotychczasowem stanowisku. Zwołano tedy nowe zebranie wyborców, po rozwiązaniu poprzedniego, ale już postąpiono sobie dowcipniej, niż poprzednio. Oto komitet zażądał od każdego, chcącego wziąć udział w obradach, okazania karty meldunkowej lub podatkowej, zapłaty za wejście 20 fen., a nadto w krużgankach sali zjawiła się policya, którą nie wiadomo kto sprowadził. Przeciw takiemu postępowaniu zaprotestował p. Szymański, ale bezskutecznie. Zebranie, w którem, mówiąc nawiasem, była ogromna ilość księży, odbyło się nad wyraz burzliwie. Wszelkie wnioski partyi, reprezentowanej przez Szymańskiego, upadały, jakkolwiek twierdzono, że większość jest po jego stronie, a wreszcie upadli i kandydaci jego na komitetowych. Ową większość można było stwierdzić łatwo przez policzenie głosów, komitet jednak ograniczył się zaręczeniem „na uczciwość" ławników, że większość osiągnął. Wszystko to sprawiło bardzo złe wrażenie, a nie zatrze go nic, nawet przysięga komitetu, że jest wyrazem „ładu i porządku," a *Orędownik* i *Postęp* — warcholstwa. Na tem wszakże zatarg się nie skończył, gdyż p. Szymański postawił kwestyę na szerszym gruncie, oświadczając, że występuje imieniem stronnictwa ludowego, a oznaczając przeciwników swych jako „partyę dworską." W ten sposób położenie się wyświetliło. Stanęło jedno stronnictwo przeciw drugiemu, a nie kandydat do krzesła poselskiego przeciw współzawodnikowi, punkt ciężkości walki przeniósł się z osób na zasady. Nie uznaje tego *Dziennik poznański*, nie uznaje tego szereg ludzi, dla których dotychczasowa martwota polityczna naszej prowincyi bardzo była wygodną, a których nowa era, gdyby tylko nastała, musiałaby zniszczyć. W pierwszym rzędzie idą księża. Patronizowali tak długo w prowincyi, posiadali taką powagę, a stronnictwo ich omija, nie należy więc dziwić się wcale, że obecnie z całą siłą uderzają na nie. Wszelkie wybitniejsze stanowiska oni zajmują, we wszystkiem rej wodzą. Stronnictwo ludowe chce z tych stanowisk ich usunąć, tem też da się wytłomaczyć wybuch nienawiści. Każdy numer *Dziennika* przynosi nowy protest przeciw „burzycielowi ładu i porządku," „anarchiście," „demagogowi" i „bezbożnikowi." Tuż po za duchowieństwem stoją ci, którzy zżywszy się z dotychczasowym porządkiem rzeczy, spokojny wiedli żywot, ciągnąc zeń korzyści, mianowicie posłowie, wybierani z takim wysiłkiem ze strony ludu, dla którego oni nic zdziałać nie umieli lub nie mogli. „Dość jest prze-

czytać podpisy pod adresem i przypomnieć sobie wiek, zajmowane wysokie dostojeństwa, głęboką naukę i długoletnią a zasłużoną pracę pasterską podpisanych, aby utrwalić się w przekonaniu, że krzywda i niebezpieczeństwo muszą być wielkie, że grożą nie osobom tylko, ale raczej społeczeństwu i dobru dusz, jeżeli tacy mężowie taki krok uznali za koniecznie potrzebny" — pisze *Gazeta toruńska* i to stanowi najsilniejszy jej argument. Być może, że na czele rodzącego się stronnictwa stoją osobistości nadmiernie ambitne, lecz co zrobić z samem stronnictwem, tak szybko się rodzącem? Czyż ono nie świadczy, że jest szereg ludzi z obecnego stanu rzeczy niezadowolonych, że są tacy, którzy stanowczo pragną zmiany w dotychczasowych stosunkach. Tego ruchu nie zatamuje ani wyrzekanie, ani wygadywanie...

Od przyszłego kwartału pojawią się na ziemi górnośląskiej w Raciborzu dwa nowe pisma polityczne. Jedno z nich wychodzić będzie w języku polskim pod tytułem *Kuryer górnoszląski*, drugie w morawskim *Katolicke Nowiny pro lid morawsky w Pruském Szleszku*. Szlachetna dewiza obu pism, mających walczyć za prawdę, wolność i prawa ludu słowiańskiego na Szlązku, jak i programowe ich przyrzeczenia mogłyby je dobrze polecić i zrazu uwieść łatwowiernych, lecz entuzyastyczna rekomendacya ze strony wrocławskiej *Schlesische Volkszeitung* ostrzeże zapewno kogo należy przed grożącem niebezpieczeństwem. *Kuryer górnoszląski* jest już trzecią z rzędu gazetą, założoną w celu sparaliżowania wpływów pism górnoszlązkich, szczególnie zaś *Nowin raciborskich*. *Katolické Nowiny* mogą mieć na razie powodzenie. Ostrze tygodnika morawskiego jest również skierowane przeciw *Nowinom*, które i w tych stronach posiadają wpływ. Morawianie, których liczba na Szlązku pruskim dochodzi do 60,000 ludzi, znajdują się dzisiaj w stanie letargu i obojętności narodowej, otóż pismo, w ich języku wychodzące, może znaleźć do nich przystęp, zwłaszcza jeżeli będzie drukowane czcionkami gotyckiemi.

Celem obudzenia w młodzieży szkolnej zmysłu oszczędzania, dała regencya poznańska już przed kilku laty pobudkę do zakładania szkolnych kas oszczędności. Małe wkłady odbiera nauczyciel od swych uczniów, doręczając im na nie kwitowe książeczki. Zebrane zaś sumy lokują się w miejskich i powiatowych kasach oszczędności. Ponieważ urządzenie to nie jest przymusowe, dlatego dobry jego skutek zawisł prawie wyłącznie od gorliwości, jaką nauczyciel temu zadaniu poświęca. Wogóle jednak sprawa ta nie postępuje u nas naprzód. Wedle sprawozdania z końca marca, z 16,878 uczniów szkół miejskich uczestniczyło 3,508 i złożyło 71,318,01 marek; z 21,936 zaś uczniów szkół wiejskich tylko 2,449 złożyło 18,204,80 marek.

t. z.

II.

Obchodzono 50-letni jubileusz pracy literackiej Augusta hr. Cieszkowskiego i obradowano na III zjeździe prawników i ekonomistów. Mówiąc o 50-letnim jubileuszu, dopuszczamy się samowolnie błędu historycznego: już bowiem w 1838 wystąpił młody uczony na szeroką widownię działalności literackiej, jako autor broszury: *Prolegomena zur Historiosophie*. Rozprawa ta zwróciła wówczas uwagę szerokich kół w świecie naukowym, a wywiązana z niej polemika przyczyniła się do rozniesienia sławy młodego myśliciela. Zapomniano przed pięciu laty o uczczeniu jego półwiekowej pracy, aż dopiero sam jubilat przypomniał swoją rocznicę na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk, którego jest prezesem.

Na zjeździe prawników i ekonomistów w sekcyi prawniczej prof. Zoll mówił na temat: „Pożądaną jest rzeczą, aby w gimnazyach udzielano propedeutyki prawniczej." Dalej prof. dr. Stebelski ze Lwowa: „O potrzebie reformy w postępowaniu śledczem." Dr. Zins ze Stanisławowa: „O potrzebie postępowania kontradyktoryjnego w postępowaniu śledczem." Dyskusya przeciągnęła się nadspodziewanie długo, tak iż iż referat dr. Zinsa: „O zniesieniu *resumé* przewodniczącego trybunału przysięgłych" musiano odłożyć do dnia następnego.

Równocześnie prof. Milewski miał odczyt: „O walucie złotej i jej wpływie na gospodarstwo rolne." Znany szermierz zasad bimetalicznych znalazł godnego siebie przeciwnika w Szczepanowskim, zdeklarowanego monometalisty, to też dyskusya była nader ożywioną i przez trzy godziny zdołała zainteresować licznych słuchaczów. Dalej mówił prof. Głębiński: „O połączeniu kredytu hipotecznego z ubezpieczeniem na życie."

W sekcyi dla prawa prywatnego przedstawiono referaty: Dr. Jaworski „O potrzebie statystyki prawa prywatnego." Adwokat Sunderland z Siedlec: „O tłomaczeniu nazwisk cudzoziemskich ze stanowiska prawa cywilnego," wreszcie mecenas Trąmpczyński z Poznania: „O prawie subhastacyjnem." Mianowicie wykład ostatni, dotyczący tej tak żywotnej kwestyi, został wysłuchany z wielkiem zajęciem. Równocześnie obradowano w sekcyi dla spraw emigracyjnych przy bardzo licznym udziale. Referaty pp. Kłobukowskiego, Kleczyńskiego i patrona kółek włościańskich Jackowskiego wywołały wielkie zainteresowanie i długą dyskusyę.

Uwieńczone zostały rozprawy sekcyjne posiedzeniem wspólnem, na którem zajęto się sprawą małej własności ziemskiej. Główny referat w tym przedmiocie wygłosił dr. Kalkstein, dyrektor Banku ziemskiego.

Ostatni przemawiał hr. August Cieszkowski, „W kwestyi udziału robotników i oficyalistów w zyskach przedsiębiorstwa rolnego."

W. C.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XV.

9 sierpnia, Chicago, wystawa.

Siedzę blizko od trzech godzin w pawilonie pedagogicznej wystawy miasta Kanzas i nie mogę oderwać się od niej. Przerzucam olbrzymie kajety ze szkolnemi ćwiczeniami ośmioletniej i dziesięcioletniej dziatwy. Mówią, co zresztą jest prawdą, że wyższa oświata w Stanach Zjednoczonych znajduje się na nader nizkim poziomie. Zgoda. Ale za to olbrzymia ta rzeczpospolita może poszczycić się czemś, o wiele ważniejszem dla każdego kraju — wysokim rozkwitem szkolnictwa elementarnego. Zbywa tam na wyniosłych wierzchołkach, wspaniale rozpościerających się w wyżynie i z daleka przykuwających do siebie oczy. Ale nie ma też i owych kryjących się u dołu przerażliwych otchłani, ziejących ponurym mrokiem, którego nigdy nie rozproszyły i nie rozjaśniły promienie słońca, w takie piękne barwy ubierającego sterczące pod niebiosami szczyty.

Metody elementarnego szkolnictwa są zaprawdę wzorowe. Nasza staruszka Europa, zdaje się, mogłaby w tej mierze sporo się poduczyć u swojej zamorskiej córy. Poglądowość panuje tam w całem tego słowa znaczeniu, a każda kartka szkolnych kajetów przekonywa nas o tem. Malec ma np. przed sobą zadanie matematyczne: dodać dwa jabłka do trzech. Odpowiedź rozpada się na dwa działy: rysunkowy, który naocznie przedstawia rezultaty dodawania, a drugi będący przekładem tamtego na język wyrazów i cyfr. Zeszyty z ćwiczeniami arytmetycznemi wyglądają niby kajety rysunkowe. Albo weźmy wypracowania językowe. Nauczyciel daje temat: rysuje kulę na tablicy, objaśnia, jak ona wygląda i wreszcie każe wynaleźć i opisać przedmioty, podobne do tego ciała geometrycznego. A zatem każdy malec — jesteśmy śród dziatwy w wieku od lat siedmiu do dziesięciu — rysuje w swoim kajecie kulę i daje jej określenie, widocznie powtarzając wyrazy nauczyciela, później wyszukuje przedmioty, przypominające kulę, np. jabłka, wiśnie, groch, które znowu rysuje. Jeszcze dalej opowiada o wróbelkach, łakomiących się bardzo na dojrzałe wiśnie — wróble figurują na rysunku; inny uczeń bierze jabłka, opowiada, co posiadają w środku, a kilka rysunków unaocznia opowieść. Nauczyciel rzucił myśl zasadniczą, reszta jest dziełem wyobraźni dziatwy. Albo weźmy geografię; dzieciak posiada lat dziewięć. Nauka poczyna się od opisu hotelu, przechodzi do sąsiednich ulic, później okolicy miasta, która daje możność zapoznania się z niektóremi definicyami geografii, np. czem jest rzeka, jezioro, wyspa. Rysunki towarzyszą opisowi, a malec wtrąca do określeń wycieczki z rodzicami na jezioro, podróż po rzece. Geografia plącze się z botaniką roślin uprawnych i z zoologią zwierząt domowych i naturalnie daje nietylko rysunek pszenicy, ale do karty kajetu przyklejono listki, opisano sposoby transportu lub uprawy. W wypracowaniach stylowych nauczyciel podsuwa geometryę, w arytmetycznych uczy buchalteryi. Rysunki uzmysławiają to, co mogło być niezrozumiałem. A rozbiór gramatyczny! Z ołówkiem w ręku notowałem przez godzinę czasu te szematy geometryczne, przy pomocy których szkoła zamorska unaocznia dzieciakom budowę zdania. Sądzę, naśladownictwo u nas tej metody wydałoby bardzo dodatnie owoce.

Ale dajmy spokój tym ćwiczeniom i wypracowaniom, bo musielibyśmy mówić o tem bez końca. Natomiast zatrzymamy się nieco nad duchem, który wieje z tych zżółkłych już kartek kajetów szkolnych, a który czyni na mnie głębokie wrażenie. Jest to brak owego formalizmu, jaki zakorzenił się w szkółce europejskiej, a który niesłusznie biorą za jedno z porządkiem i punktualnością. Dzieciak jest panem swojego zeszytu i robi z nim, co mu się podoba, byleby tylko trzymał się wątku, nakazywanego przez nauczyciela. Wolno mu zadane ćwiczenie urozmaicać najróżnorodniejszymi rysunkami: wprowadzać ludzi, konie, piłki, kiedy mu się podoba. Wolno mu narysować jakiś figiel, np. samego nauczyciela, a do rysunku dorzucić dowcip — prawdopodobnie niezbyt zjadliwy.

10 sierpnia, Chicago, wystawa.

Wspomniałem już, że służąca zjawia się w amerykańskim domu dopiero wtedy, kiedy dochody są już względnie znaczne i odpowiadają mniej więcej naszej stopie 3—4 tysięcy rubli rocznie. Naturalnym tego wynikiem jest spory postęp w technice kuchennej. Taniość służby u nas sprawiła, że mało dbamy o zdobycze, dokonane na tem polu. Wszak ciężar obowiązku i mozoły w kuchni spadają nie na nasze barki, a posiadać dwie służące nieraz jest tańszem, aniżeli kupno sprzętów nowożytnej techniki domowej! Amerykanka, której gospodarstwo obywa się bez najemnicy, zachowuje się, bo musi, inaczej. To też kuchnia wygląda odmiennie. Usunięto opał drzewem, jako zbyt mozolny, a na jego miejsce wprowadzono gaz lub vesalinę. Sam piec wygląda niby mebel, cały z me-

talu, błyszczy się jak cacko. Stanowi on własność lokatora, który, kiedy zmienia mieszkanie, rozbiera go na części. I cały lokal co do swoich urządzeń posiada inny wygląd. Chicago jest jeszcze „dzikiem“ miastem, nie chcę przeto brać jego stosunków za wzór. Ale Boston, New-York, wogóle amerykański wschód zaszedł bardzo daleko. Prawdopodobnie wrócimy do tego przedmiotu, kiedy znajdziemy się znowu w tamtej okolicy. Teraz poprzestaniemy na jednem ulepszeniu, które na wschodzie bardzo się upowszechnia, a które możemy oglądać na wystawie.

Jesteśmy w górnej galeryi Halli elektrycznej, tuż obok restauracyi. Ale sama kuchnia znajduje się na widoku publicznym, jako pawilon wystawowy. Przed nami duży blaszany piec, wewnątrz oświetlony lampkami elektrycznemi, a okno szklane pozwala nam dokładnie widzieć, w jakim stanie jest włożone tam ciasto lub pieczeń. Przy innym stoliku postawiono przed chwilą na metalicznym krążku szklankę zimnej wody, która teraz poczyna się już gotować, gdyż bąble wydobywają się silnie na powierzchnię. W niklowem naczyniu kipi kakao. Murzyn w białym ubiorze uwija się w kuchni i przygotowane potrawy odnosi do restauracyi. A w całem gospodarstwie nie ujrzysz ani jednej iskry, nie dopatrzysz najmniejszego śladu ognia, niema niepotrzebnego gorąca, prócz tego, jakie unosi się z rozgrzanych naczyń, powonienie nie czuje swędów, a dym nie żre oczów. Nie widać ani kawałka drzewa, nawet niema zapałki, prąd elektryczny nie potrzebuje tego rodzaju pomocników. Dość zakręcić w tę lub inną stronę szrubkę, a już tamujemy bieg gotowania się wody lub ogrzewamy ją. Kuchnia ta posiada inne jeszcze przymioty. Elektryczność jest stałem źródłem ciepła, działającem dzisiaj według wczorajszej normy. Po kilku dniach doświadczenia gospodyni wie, ile w danem naczyniu jakaś potrawa wymaga czasu. A zatem może spokojnie siedzieć w trzecim i czwartym pokoju i tam posiadać szrubkę, regulującą prąd; nie uczyniwszy ani kroku, „gasi“ ogień lub roznieca go. Może nawet wyjść z domu na odpowiedni przeciąg czasu: „ogień“ nie zgaśnie i nie wznieci pożaru, potrawy się nie przypalą.

11 sierpnia, Chicago, Halla przemysłu na wystawie.

Potwornych rozmiarów Halla sztuki i przemysłu w swoich galeryach zebrała wszystko, co w Ameryce zrobiono dla oświaty. Na dole za to, wśród tego labiryntu ulic i uliczek, pawiloników i pałacyków, przykrytych wspólnym dachem, inne żywioły rej wodzą. Jest to arena, na której rozsiadła się międzynarodowa wystawa zbytku i kusi swoją wspaniałością, nawet wonią zmysły ludzkie. Co tylko sztuka i wynalazczość stworzyły dla uprzyjemnienia wczasów dostatniego życia, co technika dokonała dla komfortu łechcącego wszystkie nerwy, dogadzającego wszystkim zachciankom, to zgromadził ten potwór kunsztu budowniczego i pomieścił w swojem wnętrzu. Mroźna północ wysłała meble pokryte futrami, Lyon dostarczył arcydzieł tkactwa jedwabnego, Belgia wystawia stosy koronek, Ameryka północna dała salony, sypialnie, meble, serwisy swoich miliarderów. Zwykły chudopachołek niewiele znajdzie w Halli przedmiotów dla siebie, dowie się jedynie, jak żyje plutokracya. Nie wielką posiadam znajomość w zakresie rzeczy, które w niej wystawiono na pokaz: tych różnobarwnych gałganków, dywanów wyściełających ściany pawilonów, szkła i porcelany piętrzących się gdzieindziej, ale czuję, że tylko bardzo nieliczna garstka plutokratów może rozsiadać się w fotelach, pokrytych sobolami, przewracać się w złoconych łożach, deptać po wystawionych dywanach. Wycieczka do Halli sztuki i przemysłu jest w pewnej mierze ogromnie ciekawą. To, co w codziennym potoku życia kryje się wstydliwie w mroku prywatnej siedziby, a o czem zwykła gawiedź chudopachołków wie z drugich ust, tutaj wyszło z ukrycia, rozłożyło się jawnie, uśmiecha się ku przechodniom i kusi ich żądze. A wystawa zbytku jest nietylko wystawą, lecz też i wymianą — szybką, niezwłoczną. Może żadna dziedzina nie wymienia tak szybko swoich produktów. Przekonywam się o tem ciągle. Wystawiono przedmioty noszą na sobie kartki o sprzedaży. To plutokraci amerykańscy nabywają arcydzieła zagranicy.

* * *

Istne targowisko pod dachem! Maurytańskie pawiloniki, kapliczki, zameczki — wystawcy wydobyli możliwe style, rozumie się zeszpecili je w ten lub inny sposób i rozkazali dźwigać stosy różnych gałganków i nie-gałganków.

A potok ludzki przepływa szerokiem korytem przez Hallę, która zdoła w swem łonie dać przytułek dwustu tysiącom osób. Wdłuż głównej arteryi, od której wciąż biegną pomniejsze, niekiedy bywa wprost czarno od głów ludzkich — nie! poprawmy się i powiedzmy — kobiecych. Obsiadły one ławki i krzesła przylgnęły twarzami do szkieł wystawy, gorączkują się rozprawiając o przymiotach tej lub innej rzeczy. Powieściopisarz mógłby tutaj czynić studya nad psychologią duszy kobiecej: nad tem, co ją roznamiętnia, sposobami zachwytu, stosunkiem pokładu idejowego i moralnego do wewnętrznej lawy żądz.

* * *

Lubię siedzieć wśród gwaru Halli i przypatrywać się twarzom niewieścim. Wszak w niej zgromadzono wszystko, cokolwiek wabi kobietę. I teraz siedzę na idącej wokoło filaru ławce i czynię swoje notatki. Przy mnie co chwila sadowią się różnego wieku przedstawicielki płci strojącej się. Zbliży się grono przyjaciółek, siada, gorzkie wylewając nawzajem przed sobą żale, że czują się ogromnie zmęczone. Ale nie minie parę minut, a już znużenie przeszło, ujrzały wystawę jakiejś firmy francuskiej z gałgankami, naprzeciwko której stoi ławka, i naturalnie poleciały oglądać te cuda. Siada inna gromadka i znowu ucieka po chwili do tej samej szyby. Zaprawdę, grzechem byłoby odpoczywać...

Młoda czy stara, jednaką posiada duszę. Mefistofeles wiedział dobrze, co czyni, kiedy doradzał Faustowi kusić Gretchen brylantami. Ale zamężne mają przy sobie niewolnika, którego brak młodszemu pokoleniu — pana małżonka. Od czasu do czasu siada na ławce tego rodzaju istota, utyskuje na znużenie, a zatem wysyła męża po fotel. Chociaż ciało buntuje się i odmawia posłuszeństwa, dusza jeszcze żyje, rwie się i łaknie! Mąż zjawia się z wózkiem, żona siada, a on służy za siłę pociągową i wiezie swoją towarzyszkę od szyby do szyby. Pani jego każe zatrzymać się przy tej lub innej wystawie i napawa chociaż swój wzrok rozłożonemi arcydziełami. A co dzieje się tam, przed wystawą firmy francuskiej, znajdującej się kilka kroków ode mnie! Twarze wlepiają się w okna, oczy iskrzą się i patrzą nienasycone na te skarby gałganków. U niejednej aż rumieńce wystąpiły na twarzy, dopytuje się o coś wystawcę — prawdopodobnie o cenę, żywo rozprawia z inną, towarzyszący zaś mężczyzna ziewa z nudów, ale rad nierad dźwiga cierpliwie jarzmo obowiązku. Tamtemu słuchaczowi chociaż płacą za to! W błękitnym uniformie stoi za fotelem, a siedząca dama wpatruje się w cuda tualety i wylewa swoje uczucia przed tym najemnikiem. A — został zwolniony! Podjechał drugi wózek, obie damy zawiązały rozmowę. Może się nie znają i znać nie będą na ulicy. Ale stroje widocznie działają nader uspołeczniająco na mało społeczną naturę Ewy.

Wśród tych obrazów myśl zwraca się ku roli „damy“ — tego szczególnego gatunku kobiety — w ekonomicznym obiegu życia społecznego. Optymiści mogą zawołać z radością, że wszystko składa się ku lepszemu w tym najlepszym ze światów. Mężczyzna pracuje ciężko swoimi nerwami w walce konkurencyjnej o majątek—mam na myśli tylko pewne warstwy, które nie potrzebują dbać o zwykły kawałek chleba, kobieta zaś puszcza plony *businessu*. Zaprawdę, jeżeli moralizatorzy narzekają na wietrzność tego puchu marnego, za jaki w ich oczach uchodzi kobieta, natomiast ekonomiści mieszczeńscy, tak dbający o plastry i plasterki na ciężkim losie człowieka fizycznej pracy, powinni na jej cześć układać hymny dziękczynne, większe niż ody na rzecz Rumforda z jego zupą lub na instytucye oszczędności. Rozrzutna białogłowa swojem marnotrawstwem zbawia świat kapitalistyczny, podnieca produkcyę, sprawia, że tłumy mają więcej zarobków, aniżeli gdyby wzięła sobie za hasło oszczędność... Mężczyzna bez kobiety nie wiedziałby, co począć z resztą. Zna on jedyny sposób trwonienia — grę, ale przegrana przenosi jedynie pieniądz z jednej ręki do drugiej i nie zapładnia produkcyi. Dopiero kiedy wtrąci się postać niewieścia ze swoją umiejętnością, wtedy rzeczy wyglądać poczynają odmiennie, jej ząbki zdolne są zgryźć miliony, jej rączki potargać fortunę. Przyjrzyjmy się poważnie jej niepoważnym czynom — z powagą właściwą panu Wicherkiewiczowi, kiedy mozoli się nad postępowym a tanim *menu* dla niezamożnej kieszeni. Gdyby dama nie tańczyła na dobroczynnych balach i nie potrzebowała strojów, kto dałby kawałek chleba biednym szwaczkom? A kto byłby nabywcą tych pieścidełek, błyszczących za oknem? Mężczyzna jest zwierzęciem grubiańskiego pokroju, niechlujnem i skąpem, nigdy nie nabyłby tego. Kapitały gromadziłyby się bezużytecznie. A kobieta jest fermentem, ożywiającym tę potęgę, jaką jest pieniądz, a która bez niej marnie gnuśniałaby w bezczynności. Zaiste, dziwnie się plecie na ziemi! Rozbestwiona baletniczka, puszczająca fortuny zdechlaków i graczów giełdowych, rozkapryszona plutokratka, miotająca się w napadzie kupowania, rozflirtowana dama, wszystkie są zbawicielkami!

L. K.

NIEOGŁOSZONY TESTAMENT J. SŁOWACKIEGO.

Dla przyszłej psychologii śmierci będzie niemałej wagi poznanie świadomych wyrazów ostatniej myśli, ostatnich uczuć, ostatniej woli poetów. Zanim ze studyów w tym kierunku plon można będzie zbierać, należy przedewszystkiem przygotować glebę pod zasiew ogłaszaniem i badaniem odnośnych faktów.

Dzięki uprzejmości prof. A. Małeckiego, możemy podzielić się z czytelnikami po raz pierwszy tu drukowanem rozporządzeniem ostatniej woli Słowackiego.

Górującym motywem tego aktu jest ta sama nadzwyczajna miłość Juliusza do matki, która jak nić złota snuje się przez pasmo jego żywota.

Stwierdza się tu także znany skądinąd rys praktyczności twórcy „Króla Ducha,“ który pod koniec okazał nieznaną dotychczas dbałość o materyalną stronę życia. Nadmienić też należy, że wiersz Słowackiego p. n. „Mój testament,“ ogłoszony przez Teofila Januszewskiego w *Dzienni-*

ku literackim we Lwowie 1857 r. (z drugiego pośmiertnego wydania przez Małeckiego 1867 przedrukował go Amborski w „Pismach Juliusza,“ Lwów, 1885, I, 60), napisany był, jak wnoszę z artystycznie wykończonej formy i z charakteru pisma, znacznie wcześniej, niż niniejszy testament. Nawiasem dodaję tu z autografu pierwszy nieznany rzut dwu zwrotek tego wiesza, odmiennych w ostatniej redakcyi:

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
W garnek zbiorą popioły i matce oddadzą,
Ona łzami obleje tego (nogi obmyje temu), kto
[przyniesie.

A potem niechaj w nocy sięda przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę...
Jeżeli będę duchem — to się im pokażę,
Jeśli oni duchami nie będą — nie przyjdę.

Miejsce to, dowodzące, że rdza mistycyzmu przegryzła już i to czyste złoto twórczości, nie ma zresztą nic wspólnego z niniejszym brulionem dokumentu.

Raczej zestawićby go należało z „Testamentem,“ ogłoszonym przez J. H. Rychtera w wydaniu „Poezyj i utworów dramatycznych J. Słowackiego“ (Kraków, 1889, str. 311—314).

Testament niniejszy spisany był przed 14 maja 1848 r., a na domysł ten naprowadza zaszła w tym czasie śmierć egzekutora testamentu, o której donosi poeta w liście do matki pod powyższą datą. W ostatnim liście, do wuja T. Januszewskiego pisanym w Paryżu 4 marca 1849, donosi co następuje: „Oto ja (sam to czytaj, Filu) kilka dni temu byłem mocno bardzo krwią zaatakowany, która mi się*) po wiele kroć razy z ust wypluwać (umarł 3 kwietnia t. r. na suchoty), teraz zamknęło się ujście i żywot mój w łono moje powrócił, ale widziałem zblizka Pana mego, który mię już chciał jak żołnierza od Was wziąć, a inne i może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. Gotów byłem i wesół, zrobiłem, będąc chory, testament krótki w dwóch paragrafach, w pierwszym zostawiam wszystko, co mam i przekazuję wszystkie prawa moje matce i tobie Teofilu, mianując was wspólnie i solidarnie sukcesorami moimi, z wyłączeniem wszystkich jakichbądź osób. W drugim paragrafie czynię egzekutorem testamentu względem moich paryskich pozostałości przyjaciela mojego, człowieka złotego serca, pana Charles Petiniaud Dubos, mieszkającego teraz w Paryżu na ulicy de Londres 29, z tym warunkiem, aby zaraz wziął wszystko, co posiadam, przed wdaniem się rządu schronił i spieniężywszy sukcesorom oddał. Zapisz więc sobie nazwisko tego kochanego Petiniaud i w razie każdym do niego się udaj po przyjacielsku, nie zawiedziesz się. Przyślę ci wszakże kiedyś notatkę moich sumek i moich żądań, chciałbym zwłaszcza, aby Millet, portyer, nie był zapomniany, który spał przy mnie i po bratersku mi służy. A teraz proszę cię, wygluzuj z dziennej pamięci ten ustęp listu mego i tę kartkę wyrzuć za płoty. Niech w niej makolągwy Ubienia gniazdeczka sobie ścielą.“ (Ubień, majętność Januszewskiego pod Lwowem). Wspomniany tu testament Słowackiego dotychczas nie był ogłoszony. Zbliżony treścią będzie zdaje się do następującego tu po raz pierwszy drukowanego:

„Chwała Ojcu na wysokościach i Synowi i Duchowi Świętemu. Ja niżej podpisany Juliusz Słowacki, urodzony w Krzemieńcu, dziś we Francyi zamieszkały [1]) — przy zdrowych będąc zmysłach — lecz czując siły moje nadwątlone pracą i smutkiem, piszę niniejsze ostateczne moje rozporządzenie pośmiertne [1]) i testament.

*) Jakieś opuszczenie w oryginale lub odpisie. *Red.*

[1]) Po słowie „zamieszkały“ przekreślił autor słowa „piszę ni,“ a po słowie „rozporządzenie“ słowa „względem pozostałości.“

Naprzód oświadczam, iż wszystko, co mam, winien jestem matce mojej najukochańszej, Salomei Januszewskiej [1]) z domu, która na moje wychowanie koszt łożyła i przez ciąg cały wygnania utrzymywała mnie [2]) z nieprzebraną nigdy hojnością, tak iż nietylko to, co po ojcu moim pozostało, ale nawet sumy po Januszewskich sukcesyi na nią spadłe [3]) odstąpione mi były i przysłane w bankierskich listach przez tę Najukochańszą i Najszlachetniejszą z matek — której tu niech będzie ostateczne podziękowanie i kwit usprawiedliwiający ją przed sądem Boga i ludzi [4])...

W istocie więc [5]) wszystko, co zostawiam, do niej należy. A coby jeszcze mojego znaleźć się mogło i wszystko co posiadam jej zapisuję [6]). I gdybym mógł proch mój nawet, posłałbym, aby jej był własnością... Posiadając wszakże z hojności jej niektóre małe sumy, które mi śmierć niepotrzebnemi uczyniła, względem tego to kieszonkowego majątku pozwalam sobie niektóre jak następuje uczynić rozporządzenia [7]).

Szanowny Loman, którego wzywam i proszę, aby raczył być moim egzekutorem testamentowym, znajdzie w załączonych tu papierach sumy następujące:

Akcyi 39 — Lafita 12,000 — bilet 500.

Z tych proszę, aby na pogrzeb mój... i zakupienie grobu i położenie kamienia użyto 2,000.

Po sprzedaniu mebli moich, które są bardzo proste i stare — raczy szanowny Loman zapłacić bieżący i przyszły termin mieszkania mojego, to jest 225 franków [8]).

Portyerowi Ludwikowi Millet, który mi z przychylności i wierności służył, zakupi za 1,000 fr. szanowny Loman książeczkę à la caisse d'Epargne na imię córeczki jego i odda...“

Między rękopisami biblioteki Ossolińskich (l. inw. 1773, zeszyt pod literą H, folio), w których znajdują się bruliony „Króla Ducha,“ „Pana Tadeusza“ i „Dziadów“ Słowackiego, mamy inną redakcyę jego testamentu, którą tu dla porównania ogłaszam:

„Nic nie mam w sprzętach, do czegobym przywykł, a samotność w ostatku chorowitego żywota, wszystko mi niemiłem uczyniła. Dlatego nic nie widzę, cobym mógł posłać matce mojej, oprócz czarno oprawnej Ewangelii, która przez kilka lat ostatnich ciągle przy łóżku leżała, a często przebudzonego w nocy uspokajała — tę Ewangelię [9]), którą teraz całuję, ukochanej matce swojej posyłam.

(Tu, na boku, następuje zaczęty rachunek.

2000 franków
1000
500 }
500 } wydania
1500 }
———
5500 franków
400 dzieła moje
———
9500 franków).

[1]) Przez omyłkę w piśmie stoi w „autografie“ Januszkiej.

[2]) Po słowach „utrzymywała mnie“ wykreślił autor „nad“ i „hojniej, niżby.“

[3]) Po słowie „spadłe,“ przerobionem z pierwotnego „spadłych,“ następuje przekreślone zdanie „pozbyła się na moją korzyść.“

[4]) Ostatnie zdanie dwa razy przekreślone; w pierwszej redakcyi było: „i kwit usprawiedliwiający ją od jakichkolwiekbądź familijnych pretensyj,“ w drugiej: „i kwit zasłaniający ją od prawnych przez kogokolwiekbądź roszczonych pretensyj.“ Potem następuje drugie zdanie w części przekreślone, z którego ostatecznie zostały w tekście umieszczone końcowe wyrazy. Zdanie to opiewa: „Oświadczam bowiem, że jako Słowacki usprawiedliwiający ją w obliczu Boga i ludzi.“

[5]) Przed słowami „W istocie więcej“ przekreślił poeta: „Kto uszanowanie tej woli mojej chce aby było.“

[6]) Po słowie „Zapisuję“ przekreślone: „a tylko w ufności ża“ i dopisane w górze „Następne legata czyniąc,“ ale i to przekreślone.

[7]) Zamiast później dopisanego zwrotu „względem tego“ było pierwotnie „z tego,“ które zapomniał autor wykreślić, a które umieszczone jest nad przekreślonymi wyrazami „pozwalam sobie,“ a przed słowem „kieszonkowym“ również przekreślonem.

[8]) Po słowie „franków“ przekreślił poeta: „resztę zaś, jeżeliby co zbywało...“, następnie wykreślił słowa „portyerowi mojemu.“

[9]) „Biblię więc“ przekreślono.

Urządziwszy te wszystkie interesa, o ilości pozostałych pieniędzy raczy szanowny Loman uwiadomić osobę, którą [1]), mu w liście osobnym wskażę i zapytać ją o jej wolę [2])...

Szanowny Loman przez cały czas trudnienia się interesami mojemi, począwszy od dnia śmierci, z procentów lub gdyby te nie wystarczyły, z kapitału, raczy odliczać na wynagrodzenie za trud podjęty [3]) po fr.(anków) 300 na rok, które ma prawo odbierać z góry.

Szanowny Loman zechce wziąć do siebie lub umieścić gdzie na składzie wszystkie wydrukowane, a w arkuszach będące dzieła moje i sprzedażą się zająć, z której wypływające pieniądze zechce do pozostałości [4]) moich dokładać, a sam 10% za trud sobie odliczać zechce...

Zresztą sprzedaż ta zawsze na różne straty narażająca, nie powinna w rachunkach iść z kupiecką ścisłością, ale zupełnie bez żadnych szczegółów ma być przez szan(ownego) Lomana en blanc w księgi wpisywana [5]).

Co do najukochańszej Matki mojej, oświadczam, że więcej nad 80,000 złotych, więcej nad to, co mi ojciec zostawił, wybrałem i obróciłem na moje potrzeby, żadnych więc do niej pretensyj nie mają rościć krewni moi lub imiennicy... Pod słuszną karą Bożą [6]) zostawiłbym takich, którzyby się dla braku pewnych formalności, o jakie niby resztki mego majątku [7]) u matki mojej upominali... Więcej bowiem uczyniła dla mnie, niż była powinna [8]), oddała wszystko... i swojemi po rodzicach pieniędzmi wspierała mnie, najlepsza i najszlachetniejsza“ [9]).

Henryk Biegeleisen.

PAMIĘTNIK.

Fermy wzorowe.

Pisma ruskie donoszą o bardzo ważnym zamiarze ministeryum dóbr państwa. Mianowicie postanowiło ono urządzić szereg ferm wzorowych gospodarstwa wiejskiego. Dotąd istniały one w kilku zaledwie punktach państwa (Końskowoli, Mariengórce, Hory-Horkach, Humaniu, Piotrowsku). Uznano słusznie, że fermy takie są dla rolnictwa niezbędne, jako doświadczalnie nasion, szkółki sadownictwa, oraz jako stacye rozpłodowe inwentarza gospodarskiego. W Królestwie polskiem mają być założone dwie, jedna na prawym, druga na lewym brzegu Wisły. Prowadzone w nich będą obory zarodowe ze sprzedażą przychówku gromadom wiejskim na wypłatę i z wydzierżawianiem stadników dla poprawienia rasy bydła; dalej hodowla owiec, trzody, drobiu z zapewnieniem pierwszeństwa w nabywaniu włościanom. Ziemia ferm służyć będzie do doświadczeń z nasionami zboża, traw i ogrodowizn. Kto tylko ma przybliżone pojęcie o stanie gospodarstwa rolnego u nas, zwłaszcza śród włościan, kto widział chłopskie bydło, owce, nasiona zboża i warzywa, ten chyba zrozumie ważność podobnych ferm. Gdyby gospodarz małorolny, który dziś przepłaca liche krowy, liche owce, liche, wyrzucone z zakładów ogrodniczych szczepki, miał gdzie nabyć dobrą jałowicę, dobrą owcę,

[1]) Zamiast „o której“ *które* przekreślono.

[2]) Miało być „o dalszą jej wolę.“

[3]) Przekreślono „i przyjąć jako wynagrodzenie.“

[4]) Przekreślono zaś po słowach: dzieła moje—„i temi zawiadować, rozsyłając je księgarzom według zażądania.“

[5]) Następujący ustęp był osobno na drugiej kartce spisany.

[6]) Słowa te dodał Słowacki u góry.

[7]) Pierwotnie stało: „o jaką niby należność,“ ale to przekreślono.

[8]) Zamiast „niż była mogła,“ które autor przemazał.

[9]) Bezpośrednio po tych słowach podane są wskazówki, których ma się trzymać przyszły wydawca jego dzieł: „Beniowskiego poprawić według egzemplarza u mnie będącego, Balladynę podług manuskryptu.“

dobre drzewko, z pewnością inaczej by wyglądał jego ogród, pole i obora. Niestety, dwie fermy na całe Królestwo (dotychczasowe w Końskowoli i Sobieszynie nie prowadzą hodowli inwentarza, a ostatnia tylko teoretyzuje i nie wywiera żadnego wpływu na gospodarstwa włościańskie) nie uczynią zadość potrzebie. Co najmniej każda gubernia powinna mieć własną. Chłop nie pojedzie 15 lub 20 mil po cielę, owcę, albo ćwierć żyta. Właściwie zatem nowe fermy będą oddziaływały tylko w niewielkim obrębie swej okolicy. Dobre wszakże i to, zwłaszcza że rezultaty tego małego obrębu powoli promieniować będą dalej. Gdybyśmy umieli „pracować u podstaw" — jak dawniej mówiono — sami mieszkańcy pewnych powiatów powinniby zbiorową ofiarą utrzymywać fermy wzorowe.

Tak zwane wina.

Pracownia rozbiorowa przy tutejszym urzędzie policyjnym ogłosiła w dalszym ciągu wyniki badania win, wziętych do analizy ze sklepów tutejszych. Jak łatwo można się było spodziewać, zrobiono odkrycia bardzo niemiłe. Następujące wnioski z 32 prób zbadanych ogłasza *Gazeta policyjna*:

1) ruskie besarabskie posiada alkoholu aż 9,53%, przed fermentacyą było ocukrzone — cena 35 kop.; 2) krymskie czerwone za rubla butelka: 11,62% alkoholu, wino ocukrzone; 3) czerwone zagraniczne (rs. 1 kop. 30 butelka) 7,33% alkoholu, skład zbliżony do normalnego. Skład win słodkich pod wieloma względami różni się od powyżej przytoczonych. Procent alkoholu w nich zawartego jest daleko wyższy (do 16%), gdyż przy wyrobie dodaje się spirytusu lub koniaku, tak że wiele win słodkich, jak np. malaga, z natury rzeczy są produktami sztucznymi. Ekstraktu także jest więcej; w węgierskich do 25 gramów w 100 cent. sześciennych, a w greckich do 40 gramów. Z rozbioru win słodkich 13 przedstawia rozmaite gatunki węgierskich. Oto kilka przykładów: 1) węgierskie półwytrawne za rs. 1 kop. 50 — osłodzone; 2) tokaj za rs. 1 butelka (sztuczne); 3) tokaj za rs. 1 (nalewka z wodą); 4) tokaj za 2 rs. (wino osłodzone); 5) za 40 kop. (z kwasem salicylowym); 6) węgierskie półwytrawne za 3 rs. butelka (skład zaledwie zbliżony do normalnego). Z ośmiu rozbiorów win zupełnie słodkich prawie wszystkie okazały się zafałszowanemi. Tym sposobem zbadane ruskie wina słodkie są po większej części produktami sztucznymi. Przytoczone analizy dowodzą, że sprzedawane w Warszawie wina są często dalekie od składu win naturalnych i że czasem zawierają w sobie substancye, szkodliwie wpływające na zdrowie.

Tak wyglądają w rzeczywistej swej prawdzie źródła naszych rozkoszy, na które tracimy majątki, a często coś jeszcze ważniejszego w dodatku, z których czerpiemy lub w których topimy zdrowie, któremi napełniamy kielichy wiwatowe itd. Czy nie lepiej pić rzetelny sok z jagód porzeczkowych i agrestowych? Ale „świat chce być oszukiwanym..."

Przyszła kreska.

Czy to dzięki cholerze, a raczej obawie przed nią, czy też dzięki uznaniu potrzeby wyszlamowania miasta z odwiecznych brudów, od lat paru odbywa się energiczne zamiatanie, mycie i szorowanie „syreniego grodu." Cokolwiek mówią przeciw naciskowi w tym kierunku interesowani, nie ulega żadnej wątpliwości, że Warszawa zbyt zagrzęzła w niechlujstwie i że ono zbyt bezkarnie rozpościerało się wszędzie. Przypomnijmy sobie tylko z ogłaszanych publicznie sprawozdań rewizyjnych policyi, że w pierwszorzędnych restauracyach znaleziono pieńki do rąbania mięsa nigdy nieczyszczone, w pierwszorzędnych cukierniach — ciasto pokryte brudną pościelą chłopców, w pierwszorzędnych piekarniach — robactwo i śmiecie, a nadto lokale przerobione z miejsc ustępowych, wilgotne piwnice zamieszkane przez stróżów, otwarte na podwórzach śmietniki z zabójczymi wyziewami itd. Wszystkie te „articles de Varsovie" albo już zniknęły, albo znikają ku wielkiemu zgorszeniu nie tyle żyjątek, zamieszkujących bagna, ile właścicieli tych bagien. Nareszcie przyszła kolej i na Pociejów — historyczny, rysowany, malowany, a zwłaszcza cuchnący Pociejów! Chyba tylko bardzo oddaleni czytelnicy nasi nie znają tej szanownej instytucyi — i dla nich musimy kilka słów o niej powiedzieć. Jest to niby wielkie podwórze olbrzymiego kwadratu domów, poprzecinane lichymi budynkami i zapełnione kupami wszelakiej starzyzny i nowej tandety. Co nie wytrzymuje deszczów i słońca, to schowano do składów, co im się opiera — zwalono na bruku pod gołem niebem. Dostać tu można wszystkiego, począwszy od zardzewiałych obręczy i klamek aż do cennych antyków stolarstwa i giserstwa. Przeważnie te zrzucone bezładnie sprzęty są szczątkami rozbitków losu, pochodzącymi z licytacyi za długi, ze sprzedaży na chleb lub dla podtrzymania zbytku itd. Do wielu z nich przyschły łzy rozpaczy, wiele pamięta bolesne dzieje nędzy lub hańby, a prawie każdy ma swoją smutną historyę. Między rupieciami małej wartości spotkać można potrzaskane biurko, połamany lichtarz lub świecznik artystycznej roboty, które kiedyś musiały należeć do ludzi zamożnych i które burza życia, rozbiwszy okręt, wyrzuciła na brzeg. Otóż to handlarskie muzeum, ten bazar starzyzny ma być... oczyszczony. Tak niewiele, a jednak dużo. Bo jeżeli arystokratyczne restauracye nie myły swoich pieńków do rąbania mięsa, to można sobie wyobrazić, jaka czystość panuje na Pociejowie, który nie ma żadnej pretensyi do wytworności. Biedaczysko, on, który nigdy nie marzył nawet o zamiataniu, musi się skanalizować i zaprowadzić wodociągi. Kraszewski ubolewał w jednej ze swoich powieści nad usuwaniem kałuż i starych płotów przy drogach wiejskich, wogóle nad zacieraniem „swojskości," może i Pociejów znajdzie swego Jeremiasza, który ze łzą w oku spojrzy na „burzenie malowniczego widoku." Nas, wyznajemy szczerze, nie ogarnia wcale to rozrzewnienie. Dopóki zdrowie wielkiego zbiorowiska ludzkiego zależy od czystości jego siedziby, dopóki wreszcie mamy nosy, musimy pragnąć, ażeby millefleur małych i dużych, młodych i starych śmietników nie dusił nas swojemi woniami.

Dla Chałubińskiego.

Po długich i mozolnych staraniach że strony inicyatorów zebrało się wreszcie kilkaset rubli na tablicę pamiątkową dla Chałubińskiego, wmurowaną w jednem ze skromniejszych kościołów — na Koszykach. Jest to jedyny w Warszawie objaw czci pośmiertnej dla tego wielkiego człowieka. Ci, którym on przywracał zdrowie, ci, którzy mu zawdzięczają życie, ci, którzy korzystali z jego fenomenalnych zdolności lekarskich i najszlachetniejszego serca, ci, którzy niemiłosiernie wyzyskiwali jego geniusz i dobroć, ci, którym on bezinteresownie spieszył na pomoc w chorobie lub niedoli, ci wszyscy zdobyli się zaledwie na skromną sumkę dla kupienia tablicy marmurowej w długu wdzięczności. Niejeden hojny ofiarodawca, który ani grosza nie zapłacił Chałubińskiemu za długoletnie rady, westchnął głęboko, składając na pamiątkę dla niego—rubla. Śpij nieodżałowany przyjacielu ludzi i nie patrz na tę naszą wdzięczność. Gdybyś zmartwychwstał, powiedziałbyś zapewne — jak zwykle mawiałeś — ludzie nie są źli, tylko czasem zapominają być dobrymi. Niestety, nawet twój poczciwy uśmiech nie zakryje prawdy.

Na tablicy wyryto tylko daty urodzenia i śmierci. Ach, ileż między temi dwiema datami zmieściło się czynów czcigodnych! Potomność o nich wiedzieć nie będzie, ale my wiemy.

Lekarze na prowincyi.

Nieszczęsna kwestya felczersko-lekarska na prowincyi ustawicznie zakreśla przed nami swoje błędne koło, w którem kręcimy się bez wyjścia. Lekarze nie chcą osiedlać się po wsiach i małych miasteczkach, gdyż felczerzy zabierają im całą praktykę i buntują lud, z natury i przyzwyczajeń nieufający doktorom; z drugiej strony gdziekolwiek wkradnie się choroba zaraźliwa, zabiera mnóstwo ofiar z braku pomocy. Lekarz jest dla chłopa za drogi, chłop dla lekarza za ciemny. I tak bez końca powtarza się piosnka stara i... smutna. Ile razy bowiem jakaś umiejętna ręka odsłoni prawdę życiową, spostrzegamy obraz bardzo posępny. Ot np. według korespondenta *Kuryera codziennego*, w gubernii lubelskiej na 1,116,298 głów ludności znajduje się 90 lekarzy, czyli jeden na 12,403; ponieważ zaś przebywają oni głównie w miastach, więc na wsie przypada stosunek jeszcze gorszy. W tejże gubernii jest 65 akuszerek; ponieważ zaś w r. 1892 urodziło się 42,031 dzieci, na jedną więc wypada 644... w statystyce, bo w rzeczywistości większą część przyjęły od położnic t. z. „babki," które — jak się wyraża korespondent — „czynią prawdziwe spustoszenia między matkami." Sądzi on — całkiem słusznie — że pomimo ciemnoty ludu, sideł felczerskich i wogóle bardzo uciążliwych warunków, lekarze mogliby rozszerzyć pole swego działania w naszych zaściankach, gdyby zdobyli się na większą energię i posiadali jakieś zasoby materyalne. „Brak środków na tak zwany „początek" — powiada on — z jednej strony naraża młodych adeptów nauki na lekceważenie przez dobrze zagospodarowanych i podkarmionych felczerów, z drugiej czyni ich zależnymi od aptekarzów, wzamian za co zmuszeni są pisać kosztowne recepty i szkodzić sobie tym sposobem u pacyentów." Jest to bardzo trafna uwaga praktyczna, która wskazuje sposób zabezpieczenia się od gnębiącej niewoli. Nie wątpimy ani na chwilę, że takie z doświadczenia poczerpnięte środki łącznie z wytrwałością, no i pewną — chociaż to może dziwnie brzmi teraz — miłością dla idei, złamałyby potęgę felczerów i rozkrzewiły śród ludu wiarę do lekarzów. Powinni oni pamiętać o tem, że nigdy pierwsze szeregi nie zdobywają twierdzy, lecz dalsze. Rubel jest narzędziem życia, którem gardzić nie można, ale zamknąć w nim wszystkie swoje dążenia, zabiegi i cele? Czyż nie nie wart tryumf moralny, zasługa kształcącego wpływu, przeświadczenie, żeśmy uprawili i płodnem ziarnem obsieli kawał społecznego ugoru? Młodym lekarzom, przesiadującym bezczynnie i bezużytecznie w większych miastach, polecamy ten temat do rozmyślenia.

Próba satyry.

Panowie Duduś i Gąsior mieli myśl dobrą, zamierzywszy zejść z toru zwykłych kalendarzy humorystycznych, przemycających dowcipy z *Fliegende Blätter*, *Floh* itp., i wydać zbiorek satyry miejscowej, żadnymi względami nieskrępowanej i głębszej. Nie można powiedzieć, ażeby tę myśl spełnili całkowicie w swym *Roczniku humorystycznym na r. 2000*, gdyż tu i owdzie wyfrunął z pod ich pióra swawolny koncept, w każdym razie książeczka ich odbija dodatnio od innych nietylko swoją intencyą, ale i wykonaniem. Znajdujemy w niej wiele uśmiechów złośliwych, uszczypnięć zręcznych, strzał dowcipnych a puszczonych we właściwym kierunku i celu. Pole dla satyry jest u nas szerokie i talent może z niego zebrać obfite plony, trzeba

tylko — jak to uczynili autorowie — nie oglądać się na niczyje dąsy lub gniewy i nadać najweselszemu śmiechowi pobudkę poważną. Humorystykę naszą zabijają z jednej strony względy zaściankowe, a z drugiej — bezmyślny i płytki pomysł. Obaj autorowie widocznie pragnęli wyzwolić się z tych podwójnych pęt i nieraz udało im się to szczęśliwie. Życzymy im drugiego kroku jeszcze pomyślniejszego.

Z tajemnic kamienicznych.

W tych dniach warszawski sąd okręgowy odsłonił ciekawe tajemnice gospodarki p. Antoniego Salerno di Colonna, właściciela trzech domów w Warszawie (przy ulicy Królewskiej nr. 1 i 31 i Erywańskiej nr. 14) tudzież majątku ziemskiego. Policya po zrewidowaniu suteren domu nr. 14 przy ul. Erywańskiej orzekła, iż są one zupełnie niezdatne do mieszkania i poleciła je zamknąć. Pomimo to wszakże właściciel pozostawił tam nadal stróża i kilku lokatorów. Sufity owych nor są niższe od poziomu ulicy, według zaś określenia dr. Kopcia, są to „mogiły, komórki ciemne i wilgotne, w których nie możnaby nawet porządnego psa trzymać.“ Dla osłodzenia doli stróża, p. Colonna pozwolił mu trzymać sublokatorów za opłatą podatku swemu pracodawcy w kwocie trzech rubli. Po za tem wytoczono właścicielowi inne sprawy: za używanie stróża do obowiązków stangreta i za nieporządki (np. drzwi obory nie można było otworzyć z powodu zapełnienia nieczystością). Podsądnego skazano na 75 rubli kary lub miesiąc aresztu na odwachu. Nadto kazano opróżnić i zamknąć lokal w suterenach. Wprawdzie 75 rs. kary to także wydatek znaczny dla człowieka „oszczędnego,“ ale przecie można go odzyskać w podwyższonem komornem. (Panowie kamienicznicy lubią czasami rozrzewniać swych lokatorów skargą, że nakaz czynienia porządków rujnuje ich materyalnie, więc jedynym jest środkiem wybrnięcia z ruiny — podniesienie ceny mieszkań). Prawodawcy jednak, mając liczne przykłady oporu właścicieli domów, zwiększyli w ostatnich czasach skalę odpowiedzialności winnych. P. Colonna był sądzony obecnie jeszcze według przepisów obowiązujących przed majem. Dziś, na zasadzie nowego prawa, kary za tego rodzaju przewinienia w trójnasób podniesiono.

Dr.

SPRAWY EKONOMICZNE.

SPRAWY ROLNE.

Zniżenie taryfy. — Przemysł rękodzielniczy. — Wyniszczenie lasów i środki zaradcze. — Kredyt bankowy.

Celem uzyskania ulg taryfowych, ułatwiających wywóz zboża za granicę, warsz. oddz. Tow. pop. r. prz. i handlu przedstawił właściwej władzy smutne położenie rolników i na tej zasadzie prosił o zniżenie taryfy przewozowej do $^1/_{100}$ od wiorsty i puda dla zboża idącego do Libawy i do $^1/_{50}$ od wiorsty i puda dla transportów tego produktu, skierowanych do granicy zachodniej. Na powyższe podanie interesowani za pośrednictwem departamentu kolejowego otrzymali odpowiedź wyjaśniającą, iż od 1 sierpnia r. b. taryfę przewozową do granicy austryackiej zniżono do 40%. Żądań zaś, dotyczących Libawy, ministeryum nie mogło uwzględnić. Wiadomość tę podano w ubiegłym tygodniu na posiedzeniu sekcyi rolnej. Jednocześnie p. Malinowski odczytał referat, przedstawiający w obecnej chwili stan przemysłu drobnego pod opieką powyższej instytucyi. Towarzystwo wypowiedziało stanowczo wojnę maszynie, szerzącej podboje i zorganizowawszy pracę garstki rękodzielników, ma nadzieję, że wkrótce ich wyroby będą dzielnie współzawodniczyć z fabrycznymi. Zobaczmy, jakie w tej dziedzinie zrobiono postępy. Dotąd poparcia zaznały głównie tkactwo i garncarstwo, widoczne zaś rezultaty są tylko pierwszego. Główne ognisko tkactwa jest w Helenowie pod Stanisławowem tudzież w Olchowej na Kurpiach. Ogółem w tych dwu miejscowościach jest już dotąd około 40 warsztatów. Podobno wyroby te są chętnie poszukiwane przez spożywców warszawskich, jedynym zaś dotąd rynkiem jest bazar rzemieślniczy przy ulicy Senatorskiej. Aby wzmocnić tkactwo domowe, potrzeba, zdaniem delegacyi, wykształcić odpowiednią liczbę instruktorów, dostarczyć rękodzielnikom niezbędnych narzędzi itd. Do tego wszakże brak pewnych funduszów. Delegacya liczy, iż dopomoże w tym względzie ofiarność członków sekcyi. Dotychczas stan finansowy tej gałęzi przemysłu tak się przedstawia: Wpływ ogólny wynosił 1,982 rs., rozchody 1,708, pozostało remanentu 272 rs. Majątek zaś w wyrobach i innych przedmiotach oceniony jest na 1,188 rs. Czysty zarobek tkaczów (po strąceniu wszystkich kosztów produkcyi i doliczeniu procentu handlowego) wynosi 60 kop. dziennie. Wyroby rękodzielników podobno są tańsze, niż fabryczne i przytem odznaczają się gustownością wykonania. Jeżeli mają one widoki powodzenia i wpływają na poprawienie bytu włościan, należałoby wnikać bardziej w gust spożywców i w tym względzie udzielać odpowiednich wskazówek tkaczom za pośrednictwem instruktorów. Garncarstwo dopiero jest w zarodku i skupiło się w jednym tylko piecu starym koło Iłży. Delegacya przesłała próby gliny iłżańskiej do zakładów galicyjskich, które orzekły, że materyał ten jest wcale niezły do wyrobów fajansowych.

Na posiedzeniu sekcyi p. Auleitner odczytał referat o potrzebie powiększenia produkcyi leśnej w dobrach prywatnych. Autor, zaznaczając ogromne straty dla rolnictwa, wynikające z wyniszczenia lasów, daje rady nienowe — zadrzewianie nieużytków. Jako środek do tego, zaleca utworzenie następujących podstaw przyszłej gospodarki leśnej: Założenie towarzystwa kredytowego leśnego, zaprowadzenie instruktorów i odpowiedniej służby leśnej. Myśl odrębnych towarzystw kredytowych dla każdej gałęzi gospodarki rolnej w ostatnich czasach stała się u nas pewnego rodzaju manią. Projektodawcy tak się zapalają swoimi planami, że nie mogą dojrzeć dróg o wiele krótszych i łatwiejszych. Zapominają o tem, że tworzenie nowych instytucyj kredytowych nietylko jest połączone z wielkiemi trudnościami, ale pociąga za sobą niepotrzebne wydatki na całą organizacyę i obsługę, podczas gdy o wiele łatwiej i prościej wyjednać odpowiedni dział kredytowy w bankach istniejących. Zresztą jak czytelnicy już wiedzą z naszego sprawozdania (w nr. 38 i 39 *Prawdy*), wniosek co do kredytu dla zadrzewiania ogołoconych przestrzeni był już szczegółowo rozpatrywany na zjeździe leśników w Kijowie. Również sprawa odpowiednich instruktorów zawarta została w punktach postanowień owego zjazdu. Co p. A. rozumie pod „odpowiednią służbą leśną“? Uczciwość czy uzdolnienie? Pierwszy warunek odnośnie do oficyalistów niższych jest trudnym do urzeczywistnienia, drugi — o ile dotyczy zasiewania i pielęgnowania powstających lasów, mogłyby zapewnić właściwe szkoły. Jeżeli zaś chodzi o zwyczajnych strażników, dla tych wiedza fachowa miałaby takie znaczenie, jak nauka stylistyki dla szeregowca.

Ostatnią część posiedzenia zajął p. Antoni Donimirski swoją rozprawą o kredycie bankowym na zastaw zboża. Ten środek, zdaniem prelegenta, byłby dźwignią dla rolników w ciężkich dla nich chwilach borykania się z brakiem niezbędnych środków podtrzymania produkcyi.

p.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Kredyt krótkoterminowy. Przed kilku tygodniami ministeryum skarbu przystąpiło do opracowania przepisów, ułatwiających kredyt krótkoterminowy dla przemysłowców i w celu nagromadzenia odpowiednich danych rozesłało kwestyonaryusz do komitetów giełdowych. Nadesłane już odpowiedzi dały możność do przedstawienia następującego obrazu warunków obecnych. „Kredyt krótkoterminowy jest nader pożądany dla rozwoju przemysłu przetwórczego. Wprowadzenie go i ułatwienie byłoby wielce ważnym środkiem państwowym, dopomogłoby niewątpliwie do udoskonalenia produkcyi, wreszcie uczyniłoby zadość słuszności. Skoro istnieje kredyt krótkoterminowy dla rolnictwa, to tem bardziej powinien z niego korzystać przemysł przetwórczy, który często jest związany z gospodarstwem wiejskiem.“ Zdaniem komitetów giełdowych, z kredytu krótkoterminowego powinny korzystać zarówno same zakłady przemysłowe, jak i przerabiane przez nie produkty. Zasiłki tego rodzaju pożądane byłyby w formie specyalnych rachunków bieżących, w postaci przyjmowania sola-weksli, przytem przedmioty przed pracą przetwórczą i po niej nie powinny być pozbawione samodzielnego kredytu, jako materyał lub towar, znajdujący się na składzie. Na tych samych warunkach z powyższego kredytu powinny korzystać statki parowe, zajmujące się przewozem towarów i wogóle statki spławne. Wobec zaś tego, iż przeważnie kredyt przemysłowy będzie zabezpieczony produkcyą— powinien być tańszy od wekslowego o 1%. Jako najodpowiedniejszą formę kredytu krótkoterminowego komitety giełdowe wskazują — wekslowy.

— Wobec nieustającego współzawodnictwa w przewozie węgla kamiennego do Odesy wodą, wszystkie koleje uczestniczące w transporcie, postanowiły zniżyć opłaty dodatkowe z pozostawieniem dotychczasowo stosowanej stawki $^1/_{125}$ od wiorsty i puda. Kolej Dąbrowska przy dostawie tego produktu od stacyi Sosnowice (kol. Wiedeńskiej) za przeładowanie zgodziła się odstąpić 0,16 kop. od puda, a ze stacyi Dąbrowa (kol. Wiedeńskiej) 0,05 kop. od puda. Koleje Południowo-Zachodnie zrzekają się pobieranych dotąd t. zw. rozchodów stacyjnych w ilości 0,20 kop. od puda. Wszystkie transporty węgla będą kierowane na stacye: Dąbrowa, Iwangród i Kowel.

— W końcu października zwołany będzie zjazd młynarzy do Petersburga dla organizacyi handlu mąką z zagranicą, szczególnie z Anglią.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Otwarto kasy oszczędności przy następujących urzędach pocztowych: W Grodzisku, Rudzie-Guzowskiej, Kałuszynie, Starej Wsi, Krośniewicach, Ostrowach, Pniewie, Nieszawie, Pruszkowie, Jabłonnie i w Czerwienicach.

— Podanie ks. Hohenlohe o odroczenie terminu sprzedaży pozostałych dóbr: Werki, Naliboki i Lubcza, nie zostało uwzględnione. Jeżeli majątki te w drodze umów dobrowolnych nie będą sprzedane do kwietnia r. 1894, zarządzona będzie licytacya.

— Pewna liczba żydów, poddanych zagranicznych otrzymała od p. ministra spraw wewnętrznych wyjątkowe pozwolenie na pobyt w Królestwie Poskiem do czasu ukończenia swoich interesów. Terminy owe dla wielu osób już upłynęły, więc kazano im wyjechać. pozostała niewielka garstka przed upływem roku bieżącego musi kraj opuścić.

— „W ubiegły poniedziałek — pisze *Warsz. Dniew.* w warszawskim okręgowym sądzie wojskowym była roztrząsana sprawa porucznika nowobrzeskiej brygady straży pogranicznej, Jana syna Wincentego Tomaszewicza, oskarżonego o podstęp i pobicie wartownika. Około godz. 5-ej po południu, przy odczytaniu wyroku sądowego, skazującego Tomaszewicza na pozbawienie wszelkich praw stanu, tytułów i orderów i zesłanie do gub. tobolskiej, podsądny wyjął rewolwer i wystrzałem w lewą skroń pozbawił się życia.“

— Przy obmyślaniu etatów ministeryum rolnictwa, poruszono sprawę polepszenia bytu urzędników, szczególnie posiadających rodzinę. Wogóle pensye tych ostatnich, otrzymujących mniej niż 1500 rs., należy podnieść o 10% rocznie, następnie przy urodzeniu pierwszego dziecka 15%, trzeciego — 25%. Taki sam

wniosek złożono w departamencie rachunkowości kolojowej przy kontroli państwa. Ten ostatni zaleca oprócz podwyżki w razie powiększenia się rodziny, wzrost pensyi za czas pobytu w służbie: za 5 lat o 5%, za 10—o 10%, za 25 lat — o 25% (*Birż. Wied.*).

— Dyrekcya szczegółowa Towarzystwa kredytowego ziems. w Siedlcach wykazuje 47 majątków w gub. siedleckiej zalegających w opłacie rat i zagrożonych licytacyą.

— Na pierwszem posiedzeniu powakacyjnem moskiewskiego Towarzystwa leśnego stwierdzono zjawienie się w niektórych miejscowościach Rosyi owadu *Ocneria monacha*, zjadającego lasy. Owad ten rozmnaża się nadzwyczaj szybko.

— Do kategoryi żebraków zaliczono: osobniki ofiarujące kwiaty, kalendarzyki, drobne przedmioty galanteryjne tudzież — wszystkich grajków podwórzowych. Jeżeli takie osoby nie mają świadectw handlowych na owe procedery, będą pociągane do odpowiedzialności sądowej.

Szkoły. W gub. kowieńskiej przy wielu szkołach ludowych postanowiono utworzyć biblioteki dla uczniów, którzy ukończyli szkoły i dla dorosłych włościan. Na kupno książek każda gmina będzie musiała składać po rs. 10 i więcej.

— W warszawskim instytucie głuchoniemych i ociemniałych wakującą oddawna posadę pomocnika dyrektora objął p. Kozin, nauczyciel języka ruskiego w szkole łódzkiej. Starszą zaś dozorczynią Instytutu została p. Łuczycka, b. dama klasowa IV gimnazyum żeńskiego w Warszawie.

— W nowoaleksandryjskim instytucie agronomicznym wprowadzony będzie wykład gospodarstwa rybnego. (*Peterb. Wied.*).

— Nauczycielom i nauczycielkom ludowym za utrzymanie ogrodów przy szkołach dla zachęty wydawane będą medale.

— Poruszono sprawę polepszenia bytu narczycieli ludowych w ten sposób, aby do pensyi 300 rs. co pięć lat dawać po 60 rs., aż do etatu 600 rs.

Zdrowie publiczne. *Medycyna* pisze: „Stan sanitarny Warszawy w ciągu ubiegłego miesiąca uległ nieznacznemu pogorszeniu. Śmiertelność, która wynosiła w lipcu 23,77% wzrosła w ciągu sierpnia do 26,35% i na tej mniej więcej wysokości utrzymywała się przez wrzesień. Powodem zwiększonej śmiertelności są przedewszystkiem katary żołądka i kiszek u dzieci, jako też wzmożenie się chorób zakaźnych, jak to zresztą zwykle bywa na początku jesieni. Mianowicie błonica, ospa, odra, szkarlatyna, a przedewszystkiem biegunka krwawa, uległy znacznemu wzmożeniu. Epidemia tyfusu wysypkowego zmniejszyła się widocznie. Widujemy coraz częstsze przypadki influenzy, którym niejednokrotnie towarzyszą powikłania uszne. W porównaniu jednak z poprzedniemi latami, zwłaszcza zaś z rokiem zeszłym, stan sanitarny jest obecnie względnie pomyślny.“

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Сентября 1893 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.